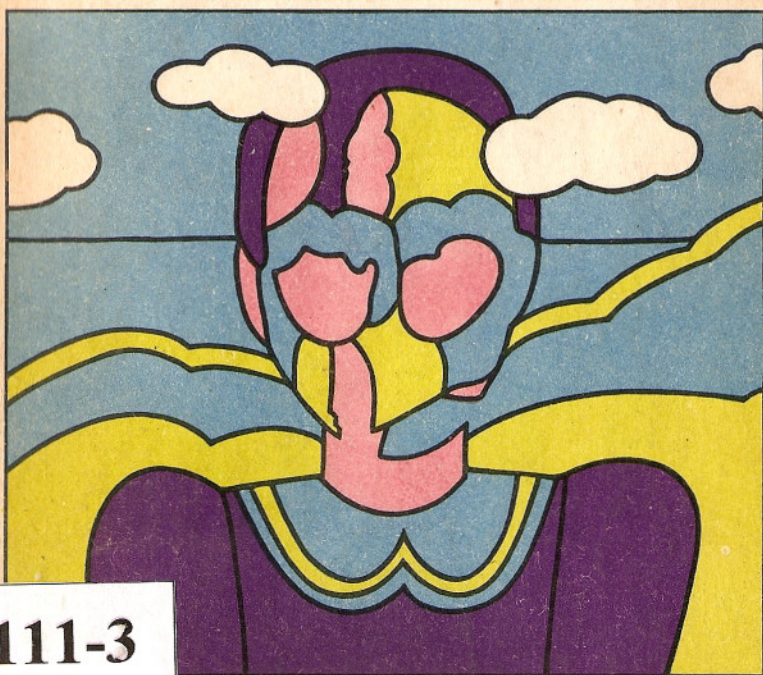


24006

MURIEL SPARK

KIK

PEŁNIA  
ŻYCIA  
PANNY  
BRODIE



21.111-3



Tytuł oryginału angielskiego  
THE PRIME OF MISS JEAN BRODIE

Wiersze tłumaczyła  
LUDMIŁA MARJAŃSKA

Okladkę i strony tytułowe projektowała  
MARIA IHNATOWICZ

## ROZDZIAŁ I

Rozmawiając z dziewczętami ze szkoły imienia Marcji Blaine chłopcy cały czas trzymali ręce na kierownicach rowerów, które stanowiły rodzaj bariery między przedstawicielami obu płci; stwarzało to zarazem wrażenie, że chłopcy w każdej chwili mogą się ulotnić.

Stali zbyt blisko szkolnej furtki, by dziewczęta mogły zdjąć swoje kapelusze panama, było to bowiem uważane za wykroczenie. Na pewne odstępstwa od regulaminowego noszenia kapelusza patrzono przez palce, ale dotyczyło to jedynie uczennic od klasy czwartej wzwyż i pod warunkiem, że nie nosiły go na bakier. Ale istniały jeszcze inne subtelne odchylenia od obowiązującego szablonu polegające na tym, że z tyłu rondo miało być podwinięte do góry, a z przodu opuszczone na dół. Pięć dziewcząt, które stały właśnie stłoczone, jedna przy drugiej, ze względu na chłopców, nosiło swoje kapelusze każda w sposób wyraźnie odmienny.

Stanowiły one „stadko panny Brodie”. Nazywano je tak, zanim jeszcze dyrektorka nadała im to pogardliwe miano, gdy w wieku lat dwunastu zdały ze szkoły podstawowej do średniej. Można je było wtedy bez trudu rozpoznać jako wychowanki panny Brodie, były bowiem dość obszerne poinformowane o wielu sprawach zgoła nie związanych z obowiązującym programem nauczania, jak się wyraziła dyrektorka, i zupełnie bezużytecznych z punktu widzenia szkoły jako takiej. Stwierdzono mianowicie, że



dziewczęta te słyszały o buchmanitach i Mussolinim, o włoskich malarzach renesansowych i przewagach mleczka kosmetycznego i oczaru wirginijskiego nad zwykłym uczciwym mydłem i wodą, i że znały słowo „menstruacja”. Ponadto poznały z opowiadań wewnątrz londyńskiego mieszkania autora *Kubusia Puchatka*, miłosne perypetie Charlotty Brontë oraz samej panny Brodie. Dziewczęta były świadome istnienia Einsteina i potrafiły przytoczyć argumenty tych, którzy kwestionowali autentyczność Biblii; znały podstawy astrologii, choć nie znały daty bitwy na polach Flodden ani stolicy Finlandii. No i poza tym wszystkie, z wyjątkiem jednej, ale na czele z samą panną Brodie, liczyły na palcach, i to na ogół z niezłym wynikiem.

Kiedy w wieku lat szesnastu przeszły do czwartej klasy i po lekcjach wałęsały się poza szkolnym terenem, i kiedy już zdołały się przystosować do panującego reżimu, nawet wtedy nosiły nieomylnie piętno panny Brodie i cieszyły się w szkole określoną sławą, czyli innymi słowy były podejrzane i niezbyt lubiane. Brak im było ducha zespołowego i poza stale podtrzymywaną przyjaźnią z panną Brodie niewiele je ze sobą łączyło. Panna Brodie w dalszym ciągu uczyła w szkole podstawowej. I była osobą bardzo podejrzaną.

Żeńska szkoła imienia Marcji Blaine była dzienną szkołą, częściowo ufundowaną w połowie dziewiętnastego wieku przez bogatą wdowę po pewnym edynburskim introligatorze, wielbicielekę Garibaldiego. Jej surowy portret wisiał w auli i co roku w Dniu Założycielki czczono go bukietem możliwie trwałych kwiatów, takich jak chryzantemy czy dalie. Umieszczano je w wazonie pod portretem, na pulpicie, na którym spoczywała również otwarta Biblia z podkreślonym czerwonym atramentem werselem: „Któż znajdzie niewiastę stateczną, gdyż nad perły daleko większa jest cena jej?”

Każda z tych dziewcząt — które stały teraz pod drzewem zbite w gromadkę, jedna przy drugiej, ze względu na chłopców — z czegoś słynęła. Teraz, w wieku lat sze-

snastu, Monika Douglas, gospodyni klasowa, znana była głównie jako dobra matematyczka, biegle licząca w pamięci, i jako złoźnica, która w napadach wściekłości potrafiła walić na oślep. Monika miała bardzo czerwony nos zarówno w zimie, jak i w lecie, długie ciemne warkocze i nogi jak kłody. Ponieważ skończyła szesnaście lat, nosiła swoją panamę nasadzoną na czubek głowy, jakby była na nią za mała i jakby Monika wiedziała, że tak czy siak wygląda groteskowo.

Rose Stanley słynęła z seksu. Nosiła kapelusz na krótko obciętych jasnych włosach w sposób nie wyróżniający się niczym szczególnym poza tym, że miał po obu stronach wgniecioną główkę.

Eunice Gardiner, mała, zgrabna, zręczna jak chochlik gimnastyczka i świetna pływaczka, nosiła kapelusz z rondem zadartym z przodu i opuszczonym z tyłu.

Panama Sandy Stranger, z rondem całym wywiniętym do góry, zsunięta była zwykle na tył głowy tak daleko, jak tylko to było możliwe. Dla zabezpieczenia Sandy przyszyła do niej gumkę, którą zakładała pod brodę. Czasami żuła tę gumkę, a kiedy przeżuwała ją na wylot, przyszywała nową. Znana była tylko ze swoich malutkich, prawie nie istniejących oczu, ale za to słynęła ze sposobu, w jaki wymawiała samogłoski, co dawno temu, w zamierzchłej przeszłości, jeszcze w szkole powszechnej, tak zachwycało pannę Brodie. „Chodź no, Sandy, coś nam zadeklamujesz, taki ciężki miałyśmy dzień.”

Rzuciła krosna, tkaną szatę,  
Przeszła trzy kroki przez komnatę,  
Ujrzała nenufaru kwiaty,  
Hełm, co w pióropusz był bogaty,  
Spojrzała w dół na Kamelot.

„To jakoś człowieka podnosi” — mówiła zwykle panna Brodie robiąc ręką gest od własnego biustu w stronę klasy dziesięciolatek, niecierpliwie wyczekujących dzwonka, który miał je wreszcie wyzwolić. „Ludzie bez wyobraźni —



zapewniała je panna Brodie — giną. Chodź no, Eunice, fikniesz nam koziołka dla odprężenia.”

Ale teraz chłopcy, wsparci na swoich rowerach, nabijali się z Jenny Gray z powodu jej wymowy, której nabrała na lekcjach dykcji — ponieważ Jenny miała zamiar zostać aktorką. Była to najlepsza przyjaciółka Sandy; nosiła kapelusz z rondem zdecydowanie opuszczonym z przodu i była najładniejsza i najwdzięczniejsza z całego stadka panny Brodie, z czego właśnie słynęła.

— Nie bądź gbur, Andrzej — powiedziała swoim wyniosłym tonem. Spośród pięciu chłopców trzech miało na imię Andrzej i cała trójka przedrzeźniała teraz Jenny. — „Nie bądź gbur, Andrzej” — przy akompaniamencie chichotów wydobywających się spod podskakujących kapeluszy pozostałych dziewcząt.

Ostatnia ze stadka panny Brodie, Mary Macgregor, która przed chwilą do nich podeszła, słynęła z tego, że jest niemrawą kluchą, kozłem ofiarnym, na którego wszystko można zwalić. Przeprowadziła ze sobą Joyce Emily Hammond, nie należącą do stadka dziewczynę z bardzo bogatego domu, recydywistkę, przyslaną ostatnio do Blaine przez rodziców, którzy uważali to za ostatnią deskę ratunku, ponieważ żadna inna szkoła ani żadna guwernantka nie mogły sobie z nią poradzić. Joyce Emily nosiła jeszcze zielony mundurk swojej poprzedniej szkoły. Pozostałe dziewczęta ubrane były na ciemnofioletowo. Jak dotąd odznaczyła się jedynie tym, że rzucała czasem kulkami z papieru w nauczyciela śpiewu. No i skrupulatnie przestrzegała tego, żeby tytułowano ją „Joyce Emily”. Usilnie starała się bowiem wcisnąć do słynnego stadka, w czym miały jej pomóc owe dwa imiona, zapewniając jej, jak sądziła, szczególną pozycję; nie miała jednak żadnych szans, czego zupełnie nie mogła pojąć.

— Idzie ktoś z nauczycieli — powiedziała Joyce Emily i skinęła głową w stronę furtki.

Dwóch Andrzejów podprowadziło rowery do drogi i zniknęło. Trzech pozostałych chłopców prowokacyjnie tkwiło w miejscu, patrząc jedynie w drugą stronę, jak gdyby

się tu zatrzymali przypadkiem, żeby podziwiać chmury na szczytach Wzgórz Pentlandzkich. Dziewczęta zbiły się w ciasną gromadkę, niby to zajęte ożywioną rozmową.

— Dzień dobry — powiedziała panna Brodie podchodząc do grupki. — Nie widziałam was już od kilku dni. Nie będziemy chyba zatrzymywały tych młodych ludzi. Do widzenia chłopcy. — Słynne stadko oddaliło się w towarzystwie panny Brodie, a Joyce, recydywistka, ruszyła za nimi. — Ja chyba nie znam tej nowej dziewczynki — powiedziała panna Brodie przyglądając się badawczo Joyce. I po dokonanej prezentacji dodała: — No cóż, moja kochana, to na nas już czas.

Sandy obejrzała się za odchodzącą w przeciwnym kierunku Joyce Emily, która nagle zaczęła podskakiwać, długonoga i postrzelona jak na swój wiek, pozostawiając stadko panny Brodie zajęte, jak przed sześciu laty, w dzieciństwie, własnymi tajemniczymi sprawami.

„Stanowczo przeciągam wasze młode umysły — powiedziała im wtedy panna Brodie — a wszystkie moje uczennice to *crème de la crème*.”

Sandy popatrzyła swoimi maleńkimi przymrużonymi oczkami na bardzo czerwony nos Moniki i ruszając śladem panny Brodie i jej stadka przypomniała sobie te słowa.

— Chciałabym, dziewczęta, żebyście przyszły do mnie jutro wieczorem na kolację — powiedziała panna Brodie. — Zarezerwujcie sobie ten wieczór.

— Kółko Dramatyczne... — bąknęła Jenny.

— To się zwolnisz. Chcę się was poradzić w sprawie nowej intrygi, która ma na celu zmuszenie mnie do rezygnacji. Nie potrzebuję was chyba zapewniać, że nie mam zamiaru odchodzić. — Mówiła spokojnie, jak zresztą zawsze, nawet wtedy gdy jej słowa zawierały szczególny ładunek emocjonalny.

Panna Brodie nigdy nie omawiała swoich spraw z innymi członkami grona nauczycielskiego, tylko z tymi byłymi uczennicami, które wychowała na swoje powiernice. Istniało już poprzednio parę spisków mających na celu usunięcie jej z Blaine, ale wszystkie zostały udaremnione.



— Znów dano mi do zrozumienia, że powinnam ubiegać się o posadę w jednej z tych postępowych szkół, gdzie moje metody byłyby znacznie stosowniejsze niż w Blaine. Ale nie mam zamiaru starać się o posadę w żadnej z tych zwariowanych szkół. Pozostanę w tej fabryce wychowania. Zdrowy ferment jest potrzebny. Dajcie mi jakąkolwiek dziewczynkę w okresie największej chłonności, a jest moja do końca życia.

Dziewczęta uśmiechnęły się, niezupełnie jednoznacznie. Błyskawice, które panna Brodie miotła swoimi piwnymi oczyma, miały stanowić wymowne tło dla jej spokojnego głosu. Jej ciemny rzymski profil wyglądał w słońcu majestatycznie. Żadna z dziewcząt ani przez chwilę nie wątpiła, że panna Brodie zwycięży. Równie dobrze mogłoby zaproponować Juliuszowi Cezarowi przyjęcie posady w takiej zwariowanej szkole. Panna Brodie nigdy nie zrezygnuje. Jeśli władze szkolne chcą się jej pozbyć, muszą ją najpierw zamordować.

— Kto spiskuje tym razem? — zapytała Rose, słynąca z seksu.

— Jutro wieczorem porozmawiamy na temat moich przeciwników — odparła panna Brodie. — Ale możecie być spokojne, że im się to nie uda.

— Nie — odpowiedziały dziewczęta chórem. — Naturalnie, że im się to nie uda.

— W każdym razie nie w okresie pełni mojego życia — rzekła panna Brodie. — A ta pełnia wciąż jeszcze trwa. Nigdy nie zapominajcie, że to bardzo ważne zdawać sobie sprawę, kiedy człowiek przeżywa pełnię. Jedzie mój tramwaj. Obawiam się, że nie będę już miała siedzącego miejsca. Żyjemy w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Wiek rycerski należy do przeszłości.

Przed sześciu laty panna Brodie zaprowadziła swoją nową klasę na lekcję historii do ogrodu pod duży wiąz. Idąc przez szkolne korytarze mijaly gabinet dyrektorki. Drzwi były szeroko otwarte, a pokój pusty.

— Dzieci — powiedziała panna Brodie — chodźcie i przyjrzyjcie się dobrze.

Dziewczęta skupiły się wokół otwartych drzwi, a panna Brodie wskazała na pokaźnych rozmiarów afisz rozpięty pinezkami na przeciwległej ścianie. Plakat przedstawiał dużą męską twarz. Pod nią widniały słowa: „Bezpieczeństwo przede wszystkim.”

— To jest Stanley Baldwin, został premierem, ale już od dawna nim nie jest. Panna Mackay trzyma go jeszcze na ścianie, bo wierzy w slogan: „Bezpieczeństwo przede wszystkim.” Ale bezpieczeństwo wcale nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest Dobro, Prawda i Piękno. Chodźmy.

Wtedy to po raz pierwszy panna Brodie napomknęła wobec dziewcząt o różnicy poglądów dzielącej ją od pozostałych członków grona nauczycielskiego. Prawdę powiedziawszy, niektóre z nich dopiero wówczas zdaly sobie sprawę, że wspólny front dorosłych nie zawsze bywa zwarty. Odnotowując to w pamięci, w radosnym przewidywaniu chryi, którą same nie czuły się zagrożone, dziewczęta poszły za niebezpieczną panną Brodie w bezpieczny cień wiazu.

Tej słonecznej jesieni, ilekroć pozwoliła na to pogoda, młodsze klasy miały lekcje pod wiązem, dokąd wyniesiono trzy ławki.

— Ustawcie książki — często mówiła tej jesieni panna Brodie — i podeprzyjcie je rękami ze względu na ewentualnych intruzów. Gdyby się ktoś zjawił, robimy historię... poezję... czy gramatykę angielską...

Dziewczynki podpierały książki nie spuszczać oczu z panny Brodie.

— Na razie opowiem wam o moich ostatnich wakacjach spędzonych w Egipcie. Nauczę was, jak pielęgnować skórę i ręce... Powiem wam o Francuzie, którego poznałam w pociągu do Biarritz... aha, i muszę wam jeszcze powiedzieć o pewnym włoskim obrazie, który widziałam. Kto jest najwybitniejszym włoskim malarzem?

— Leonardo da Vinci.



— Nieprawda. Właściwa odpowiedź brzmi Giotto, to jest mój ulubiony mistrz.

Były dni, kiedy Sandy wydawało się, że pierś panny Brodie jest zupełnie płaska, bez żadnych wypukłości, równa jak plecy. Kiedy indziej znów, gdy lekcje odbywały się w klasie, a panna Brodie, z dumnie uniesioną kasztanową głową, jak Joanna D'Arc, wyglądała przez okno, jej pierś w obserwujących ją pilnie małych oczkach Sandy przybierała kształt i rozmiary całkiem wydatnego biustu.

— Często wam wspominałam — a te wakacje przekonały mnie o tym ostatecznie — że moja pełnia zaczęła się na dobre. A to jest takie nieuchwytnie. Pamiętajcie, dziewczynki, jak dorośnięcie, musicie bardzo uważać, żeby jej nie przegapić, obojętne na jaki okres życia przypadnie. I wykorzystać ją do cna. Mary, co masz pod ławką, co tam oglądasz?

Ale Mary siedziała jak ciele, za tępa na to, żeby cokolwiek wymyślić. Była tak głupia, że nie potrafiła ani skłamać, ani niczego ukryć.

— To jest komiks, proszę pani — odparła.

— Jak to komik, błazen?

Rozległ się chichot.

— Komiks, nie komik, pisemko — wyjaśniła Mary.

— Ach, komiks, zaiste. Ile ty masz lat, Mary?

— Dziesięć, proszę pani.

— To jesteś już za duża na komiksy. Daj mi to.

Panna Brodie popatrzyła na kolorowe kartki.

— *Tygrys Tim*, no właśnie — powiedziała i wyrzuciła komiks do kosza. Widząc jednak utkwione w nim oczy dziewcząt, wyjęła go i podarła na strzępy.

— Posłuchajcie, dziewczynki. Pełnia to ten moment w życiu człowieka, dla którego się rodzimy. Teraz, kiedy moja pełnia już się właśnie zaczęła... Sandy, nie uważasz. O czym to ja mówiłam?

— O pani pełni.

— Gdyby w czasie następnej lekcji ktoś przyszedł, pamiętajcie, bierzemy gramatykę angielską. A tymczasem opowiem wam coś z mego życia, z czasów, kiedy byłam

młodsza, niż jestem w tej chwili, ale o sześć lat starsza od tamtego mężczyzny.

Oparła się o wiaź. Był to jeden z ostatnich jesiennych dni, kiedy liście opadały w niewielkich porywach wiatru. Dziewczynki z wdzięcznością korzystały z tej okazji, żeby się powiercić, strącając je z włosów i kolan.

— Był to okres mgieł i dojrzewania owoców. Na początku wojny byłam zaręczona z pewnym młodym człowiekiem, który poległ we Flandrii — powiedziała panna Brodie. — Sandy, czy zabierasz się do prania?

— Nie, proszę pani.

— Bo tak podwinęłaś rękawy... A ja nie chcę mieć nic wspólnego z dziewczętami, które podwijają rękawy bluzek, nawet żeby pogoda była nie wiem jak piękna. Opuść je natychmiast, jesteśmy istotami cywilizowanymi. Zginął na tydzień przed zawieszeniem broni. Padł jak jesienny liść, mimo że miał dopiero dwadzieścia dwa lata. Kiedy wrócimy do szkoły, znajdziemy na mapie Flandrię i miejsce, w którym poległ mój ukochany, zanim wyście przyszły na świat. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny z Ayrshire, ale był bardzo pracowity i zdolny. Kiedy mi się oświadczał, powiedział: „Będziemy musieli pić wodę i chodzić powoli.” W taki prosty sposób Hugh wyraził to, że będziemy żyli skromnie. Będziemy pili wodę i chodzili powoli. Co to znaczy, Rose?

— Że będziecie żyli skromnie — odparła Rose Stanley, która w sześć lat później zasłynęła z seksu.

Historia poległego narzeczonego panny Brodie była już dobrze zaawansowana, kiedy dziewczęta zauważyły nadchodzącą przez trawnik dyrektorkę, pannę Mackay. Z małych, świńskich oczek Sandy zaczęły właśnie kapać łzy, co udzieliło się jej przyjaciółce Jenny, tej, która później zasłynęła w szkole z urody, a która teraz pochlipując sięgnęła do nogawki majtek po chusteczkę.

— Hugh poległ — powiedziała panna Brodie — na tydzień przed zawieszeniem broni. A potem były wybory powszechne i ludzie wołali: „Powiesić cesarza!” Hugh był jednym z Kwiatów Leśnych, zginął jak one. — Rose Stan-



ley zaczęła płakać na dobre. Sandy łypała mokrymi oczyma w stronę trawnika, skąd nadchodziła panna Mackay, podana do przodu.

— Wpadłam do was na chwilę, ale zaraz muszę iść — powiedziała. — Dlaczego płaczecie, dzieci?

— Wzruszyła je moja opowieść. Mamy teraz lekcję historii — wyjaśniła panna Brodie, zrećnie łapiąc spadający liść.

— No wiecie, żeby dziesięcioletnie panny płakały nad jakąś tam opowieścią! — Dziewczęta, ciągle jeszcze pod wrażeniem dzielnego wojaka Hugh'a, bezładnie powstawały z ławek. — Wpadłam tylko na chwilę i muszę już iść. No cóż, dziewczynki, zaczął się nowy rok szkolny. Mam nadzieję, że przyjemnie spędziliście wakacje i że wkrótce przeczytam wasze piękne wypracowania na ten temat. I naprawdę w tym wieku nie powinnyście płakać nad historią!

— Dobrzeście się spisały — powiedziała panna Brodie, kiedy panna Mackay już sobie poszła. — Słusznie, żeście nie odpowiedziały na jej pytanie. W sytuacjach niepewnych najlepiej nic nie mówić: ani czarne, ani białe. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Mary, czy ty słuchasz? O czym ja mówiłam?

Mary Macgregor, niemrawa klucha, z buzią jak u śniegowego bałwana — oczy, nos i usta — Mary, która zasłyszała później z głupoty i z tego, że zawsze była kozłem ofiarnym, a w dwudziestym czwartym roku życia zginęła w pożarze hotelu, zaryzykowała:

— Złoto.

— Ale co złoto?

Mary rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. Sandy szepnęła:

— Jesienne liście.

— Jesienne liście — powtórzyła Mary.

— Od razu widać — rzekła panna Brodie — że nie słuchałaś. Gdybyście mnie tylko, dziewczynki, słuchały, zrobiłabym z was *crème de la crème*.

## ROZDZIAŁ II

Mary Macgregor, chociaż dożyła dwudziestej czwartej wiosny, nie zorientowała się nigdy, że Jean Brodie nie ma zwyczaju zwierzać się innym nauczycielom i że historią swojej miłości podzieliła się tylko ze swymi wychowankami. Nie myślała często o Jean Brodie — nie można jednak powiedzieć, żeby jej nie lubiła — kiedy w rok po wybuchu drugiej wojny światowej wstąpiła do kobiecej służby pomocniczej marynarki wojennej, gdzie okazała się niezrećna i nieudolna i gdzie zawsze podpadała. Jeden jedyny raz, w chwili prawdziwej rozpacz — kiedy straciła pierwszego i ostatniego w życiu adoratora, kaprała, którego znała od dwóch tygodni i który zamiast przyjść na randkę, więcej się nie pokazał — raz jeden sięgając wstecz pamięcią Mary zastanawiała się, czy kiedykolwiek w życiu była szczęśliwa; uświadomiła sobie wtedy, że te pierwsze lata z panną Brodie, kiedy siedziała zasluchana w przeróżne opowieści i opinie całkiem nie związane z tym, co ją otaczało, były najszczęśliwszym okresem w jej życiu. Ale był to tylko krótki przeblýsk i Mary nigdy więcej nie wróciła myślami do panny Brodie, bo otrząsnąwszy się z rozpacz popadła w normalny stan flegmatycznego oćpienia, zanim zginęła w czasie urlopu w Cumberland w pożarze hotelu. Wśród gęstniejącego dymu Mary Macgregor biegała tam i z powrotem po korytarzach. Biegła w jedną stronę, potem zawracała i biegła w drugą, za każdym razem natykając się na szalejące płomienie. Nie słyszała żadnych krzyków, bo zagłuszał je huk ognia; nie krzyczała sama, ponieważ dawił ją dym. Za trzecim razem wpadła na kogoś, potknęła się i już nie wstała. Ale na początku lat trzydziestych, kiedy Mary miała dziesięć lat, siedziała po prostu tępo wśród uczennic panny Brodie.

— Kto rozlał atrament na podłogę? Czy to ty, Mary?

— Nie wiem, proszę pani.

— Na pewno ty. Jeszcze nie widziałam takiej niezdary. Jeśli nie interesuje cię to, co ja mówię, spróbuj chociaż udawać zainteresowanie.



I to właśnie były te chwile, które sięgając pamięcią wstecz Mary Macgregor uznała za najszczęśliwsze w swoim życiu.

Sandy Stranger już wtedy wyczuwała, że te chwile mają być najszczęśliwsze w jej życiu, i w swoje dziesiąte urodziny zwierzyła się z tego przyjaciółce od serca, Jenny Gray, która została zaproszona na uroczysty podwieczorek. Gwoździem programu były kostki ananasa z kremem, a dodatkową atrakcją to, że zostawiono je same w pokoju. Dla Sandy egzotyczny ananas miał autentyczny smak i wygląd szczęścia, więc wpatrywała się swoimi małymi oczkami w bladoczyste kostki, zanim nabrała je na łyżeczkę, a cierpki smak na języku był dla niej smakiem tego szczególnego szczęścia, które nie ma nic wspólnego z jedzeniem ani ze szczęściem, jakiego człowiek doznaje nieświadomie w czasie zabawy. Obie dziewczynki oszczędzały krem na koniec, żeby go potem zjeść łyżkami.

— Dziewczynki, będziecie kiedyś *crème de la crème* — powiedziała Sandy, a Jenny parsknęła kremem w chusteczkę.

— I to mają być najszczęśliwsze dni w naszym życiu — dodała Sandy.

— Tak, oni zawsze tak mówią — przyznała Jenny. — Wykorzystajcie szkolne dni, mówią, bo nie wiadomo, co was w życiu czeka.

— A panna Brodie twierdzi, że najlepsza jest pełnia.

— Tak, ale ona nigdy się nie ożeniła jak nasze mamy i ojcowie.

— Ale oni nie mają pełni.

— Za to mają stosunki płciowe — powiedziała Jenny.

Dziewczynki urwały, bo sama idea, którą odkryły bardzo niedawno, była sensacyjna, a zarówno sformułowanie, jak i jego znaczenie zupełnie nowe. Było to coś niewiarygodnego. Sandy powiedziała:

— W zeszłym tygodniu panu Lloydowi urodziło się dziecko. Musiał popełnić coś płciowego ze swoją żoną. — To już było jakoś łatwiej przelknąć i dziewczęta zaczęły pi-

skliwie chichotać w różowe bibułkowe serwetki. Pan Lloyd był nauczycielem rysunków w starszych klasach.

— Czy to można zobaczyć? — wyszeptła Jenny.

Sandy przymrużyła i tak małe oczki, wysilając całą swoją wyobraźnię.

— Na pewno jest wtedy w pidżamie — szepnęła.

Dziewczęta trzęsły się ze śmiechu na myśl o jednorekim panu Lloydzie wkraczającym uroczyście do szkoły.

A potem Jenny powiedziała:

— To się robi pod wpływem chwilowego impulsu. W ten sposób do tego dochodzi.

Jenny była miarodajnym źródłem informacji, ponieważ właśnie ostatnio stwierdzono, że dziewczyna, która pracowała w sklepie spożywczym jej ojca, zaszła w ciążę i przy okazji wynikłych stąd awantur to i owo obito się Jenny o uszy. Zwierzyła się ze swoich odkryć Sandy i razem podjęły badania, które nazwały „studiami”, usiłując złożyć w jakąś całość strzępy podsłuchanych rozmów i informacje zaczerpnięte z dużych słowników.

— To się dzieje błyskawicznie — oświadczyła Jenny. — Teenie przytrafiło się, jak była na spacerze ze swoim chłopcem. A potem musieli się ożenić.

— Ale zanim ona zdejmie ubranie, to już im chyba podniecenie przechodzi — powiedziała Sandy. Przez „ubranie” rozumiała oczywiście majtki, ale słowo „majtki” brzmiało ordynarnie w takim naukowym kontekście.

— Tak, i właśnie tego nie rozumiem — rzekła Jenny.

Matka Sandy zajrzała do pokoju i zapytała:

— Dobrze się bawicie, dziewczynki? — Ponad jej ramieniem ukazała się głowa matki Jenny, która spoglądając na stół wykrzyknęła:

— Słowo daję! Ale apetyty to im dopisują!

Sandy poczuła się dotknięta i zlekceważona — tak jakby głównym celem przyjęcia urodzinowego było jedzenie!

— A co teraz zamierzacie robić? — spytała matka Sandy.

Sandy posłała jej ukradkiem groźne spojrzenie, które mówiło: obiecałaś zostawić nas same, a obietnica jest obietnicą i przecież wiesz, że to bardzo niedobrze, jak się nie



dotrzymuje słowa danego dziecku, możesz w ten sposób złamać mi życie, to są moje urodziny.

Matka Sandy wycofała się zabierając ze sobą matkę Jenny.

— Zostawmy je same — powiedziała. — Bawcie się ładnie, aniołki.

Sandy czasami wprawiała w zakłopotanie jej matka, która była Angielką i mówiła do niej „aniołku” zamiast „kochanie”, jak inne matki jej edynburskich koleżanek. Miała także wytworne zimowe palto, przybrane puszystym lisem, jak księżna Jorku, podczas gdy inne matki nosiły płaszcze tweedowe albo co najwyżej piżmowce, które im starczały na wszystkie okazje.

Padał deszcz i było zbyt mokro, żeby wyjść na dwór i kończyć przekop do Australii, więc dziewczynki przestawiły stolik z resztkami przyjęcia w róg pokoju. Sandy podniosła wieko taboretu stojącego przed fortepianem i spomiędzy nut wyjęła brulion. Na pierwszej stronie brulionu było napisane: «GÓRSKI SZAŁAS» — SANDY STRANGER I JENNY GRAY.

Była to historia, w trakcie tworzenia, o ukochanym panny Brodie, Hughu Carruthersie. Hugh nie zginął na wojnie — w telegramie zaszła pomyłka. Wrócił i przyszedł do szkoły zapytać o pannę Brodie. Pierwszą osobą, na którą się natknął, była panna Mackay, dyrektorka. Poinformowała Hugh'a, że panna Brodie nie życzy sobie go widzieć i że kocha innego. Hugh zaśmiał się gorzko, sardonicznie i odszedł, by zamieszkać w górskim szałasie, gdzie odzianego w skórę znalazły go pewnego dnia Sandy i Jenny. Historia została doprowadzona do momentu, kiedy Hugh więzi Sandy, a Jenny, która zdołała zbiec nocą, szuka w ciemnościach drogi pośród górskich stoków. Hugh zamierza właśnie ruszyć za nią w pogoń.

Sandy wyjęła ołówek z szuflady kredensu i zaczęła pisać:

„Hugh! — zaklinała go Sandy. — Przysięgam ci na wszystkie świętości, że panna Brodie nigdy nie kochała

innego i że oczekuje cię modląc się gorąco, i nie traci nadziei, w pełni swego życia. Jeśli tylko pozwolisz Jenny odejść, przyprowadzi ci twoją kochankę Jean Brodie, byś po tej długiej rozłące, trwającej dwanaście lat i jeden dzień, mógł ją zobaczyć na własne oczy i wziąć w ramiona.

Jego czarne oko błysnęło w świetle kaganka.

Odsuń się, dziewczyno! — wykrzyknął — i nie zabiegaj mi drogi. Wiem dobrze, że ta twoja Jenny zdradzi mą kryjówkę przed moją niewierną, szyderczą narzeczoną. Obie jesteście szpiegami nasłanymi przez nią po to, by mogła się ze mnie naigrawać! Mówię po raz ostatni: odsuń się od drzwi!

Przenigdy! — odparła Sandy zasłaniając klamkę swoim gibkim ciałem, a rygiel ramieniem. Jej ogromne oczy płonęły błagalnym błękitem.”

Sandy wręczyła ołówek Jenny.

— Teraz twoja kolej — powiedziała.

Jenny pisała: „Jednym ruchem odepchnął ją w najdalszy kąt izby i wyszedł lekko krocząc wśród wirujących płatków śniegu i księżycowej poświaty.”

— Napisz coś o jego butach — podsunęła Sandy.

Jenny napisała: „Jego wysokie buty lśniły w świetle księżycy.”

— Trochę za dużo jest o tym świetle księżycy — wtrąciła Sandy — ale to poprawimy później, jak już będziemy oddawały do druku.

— Zapomniałaś, że przecież to jest sekret, Sandy! — zwróciła jej uwagę Jenny.

— Wiem. Nie martw się, nie opublikujemy tego przed nadejściem naszej pełni.

— Czy myślisz, że panna Brodie miała z nim kiedykolwiek stosunek płciowy? — spytała Jenny.

— Toby miała dziecko, no nie?

— Nie wiem.

— Nie sądzę, żeby robili coś takiego — rzekła Sandy. — Ich miłość była wyższa ponad to.



— Panna Brodie powiedziała, że w czasie ostatniego spotkania Ignęli do siebie w namiętym zapomnieniu.

— Mimo wszystko nie sądzę, żeby się rozbierali — powiedziała Sandy. — A ty?

— Nie, jakoś też sobie tego nie wyobrażam — przyznała Jenny.

— Ja bym nie chciała mieć stosunku płciowego — oświadczyła Sandy.

— Ja też nie. Ja wyjdę za mąż za kogoś, kto będzie zupełnie czysty.

— Weź toffi.

Dziewczynki zjadły po cukierku siedząc na dywanie. Sandy dorzuciła trochę węgla na kominek i ogień buchnął jaśniejszym płomieniem, wywołując refleksy na kędziorkach Jenny.

— Wiesz co, bawmy się, że jesteśmy czarownice przy ogniu, tak jak w wigilię Wszystkich Świętych.

Siedziały w półmroku jedząc toffi i czyniąc czary. Jenny odezwała się nagle:

— W muzeum jest posąg takiego greckiego boga, który stoi zupełnie nago. Widziałam w niedzielę po południu, ale byłam z cicią Kate i nie mogłam dobrze zobaczyć.

— To chodźmy w niedzielę do muzeum — zaproponowała Sandy. — W ramach studiów.

— A pozwól ci iść tylko ze mną?

Sandy, która była znana z tego, że jej nigdzie nie puszczano bez opieki dorosłych, powiedziała:

— Chyba nie. Może byśmy kogoś namówiły, żeby z nami poszedł.

— Mogłybyśmy poprosić pannę Brodie.

Panna Brodie często zabierała młodsze dziewczęta do galerii i muzeów, nie byłoby więc w tym nic dziwnego.

— A jeśli — powiedziała Sandy — ona nam nie pozwoli patrzeć na ten posąg właśnie dlatego, że on jest nagi?

— Ona pewnie w ogóle nie zauważy, że on jest nagi — odparła Jenny. — Może wcale nie dojrzy jego interesu.

— Możliwe — rzekła Sandy. — Panna Brodie jest wyższa ponad to.

Ale zapadł już widmowy edynburski zmrok listopadowy i Jenny z matką musiały wracać tramwajem przez Dean Bridge. Sandy machając im przez okno zastanawiała się, czy Jenny też ma takie uczucie, jakby prowadziła podwójne życie, nabrzmiałe problemami, z którymi nawet milioner nie musi się borykać. Było rzeczą ogólnie znaną, że milionerzy prowadzą podwójne życie. W skrzynce na listy zachrobotała jak grzechotnik wieczorna gazeta i nagle w domu zapachniało godziną szóstą.

Za kwadrans czwarta, by przed pójściem do domu wprawić dziewczęta w bardziej podniosły nastrój, panna Brodie recytowała swojej klasie poezję. Z przymkniętymi powiekami, z głową odrzuconą do tyłu mówiła:

Pod wiatru porywistym dreszczem  
Pożółkłe lasy coraz bledsze,  
Strumień się skarżył brzegom jeszcze,  
Ciężkie niebiosa siekły deszczem  
Wieżycy Kamelot.

Sandy obserwowała ją swoimi małymi spłowiałymi oczkami, które jeszcze przymrużyła, zaciskając przy tym mocno usta.

Rose Stanley wyskubywała nitki z paska gimnastycznej tuniki. Jenny, oczarowana poematem, siedziała z rozchyłonymi wargami, nigdy nie znudzona. Sandy też nigdy nie była znudzona, ale zawdzięczała to swemu podwójnemu życiu osobistemu.

Zeszła na dół, łódkę wzięła  
I pod wierzbą popłynęła,  
W napis łodzi dziób ujęła  
„Pani na Shalott”.

„A w jaki sposób jaśnie pani zdołała napisać te słowa?” — pytała w myślach Sandy, mocno zaciskając usta.



„Na porośniętym trawą urwisku stała przypadkiem puszka białej farby z zanurzonym w niej pędzlem — odparła łaskawie Pani na Shalott. — Prawdopodobnie zostawił ją tam przez roztargnienie jakiś członek związku bezrobotnych.”

„Mój Boże, w taki deszcz!” — odparła Sandy, której nie przyszło na myśl nic lepszego, w momencie kiedy głos panny Brodie wystrzelił do sufitu, kładąc się u stóp starszych dziewcząt piętro wyżej.

Pani na Shalott złożyła białą dłoń na ramieniu Sandy i wpatrywała się w nią przez chwilę.

„I właśnie ona, taka młoda i piękna, musi być taka nieszczęśliwa w miłości!” — powiedziała bardzo cicho i smutno.

„Cóż mogą znaczyć te słowa?!” — wykrzyknęła Sandy w przerażeniu. Jej małe oczki utkwione były w panie Brodie, a usta mocno zaciśnięte.

Panna Brodie zapytała:

— Sandy, czy ciebie coś boli?

Sandy spojrzała zdumiona.

— Pamiętajcie, dziewczynki — rzekła panna Brodie — żeby umieć zawsze panować nad swoim wyrazem twarzy. Dla kobiety to bardzo cenna umiejętność, którą trzeba osiąść za wszelką cenę. Spójrzcie na Monę Lizę!

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę reprodukcji, którą panna Brodie przywiozła z jednej z licznych podróży i zawiesiła na ścianie. Mona Liza, w pełni życia, uśmiechała się z niewzruszonym spokojem, chociaż dopiero co wróciła od dentysty i była spuchnięta.

— Ona jest starsza od skał, na których siedzi. Szkoda, że nie byliście pod moją opieką od siódmego roku życia. Czasami się boję, że jest już za późno. Gdybym was miała pod swoimi skrzydłami już jako siedmiolatki, zrobiłabym z was *crème de la crème*. Sandy, chodź no, przeczytasz nam parę zwrotek, posłuchamy twoich samogłosek.

Sandy, jako pół-Angielka, dołożyła wszelkich starań, żeby popisać się samogłoskami, było to bowiem jedyne, z czego słynęła. W tych czasach Rose Stanley nie zdążyła

jeszcze zasłynąć z seksu i to wcale nie ona, tylko Eunice Gardiner podeszła do Sandy i Jenny z Biblią, pokazując im zdanie: „Dziecię igrało w jej łonie.” Sandy i Jenny powiedziały, że ona jest zepsuta, i zagroziły, że na nią poskarżą. Jenny już wtedy słynęła z urody i miała słodki głosik, tak że pan Lowther, który objął u nich śpiew, nie spuszczał z niej zachwyconego wzroku, kiedy śpiewała: „Chodź, spójrz, gdzie źródło zlociste...” i skubał ją za kędziory, tym śmielej, że panna Brodie zawsze uczestniczyła w lekcjach śpiewu swoich pupilek. Skubał ją za te kędziory i patrzył na pannę Brodie niczym potne dziecko, jak gdyby chciał sprawdzić, czy pochwała jego zupełnie nieedybnurskie zachowanie.

Pan Lowther był niski, o długim tułowiu i krótkich nogach, a jego włosy i wąsy miały czerwonożłocisty kolor. Zwijął dłoń w trąbkę przy uchu i przybliżał ją do każdej z dziewcząt po kolei wypróbowując ich głosy.

— Zaśpiewaj „aa”!

— „Aa!” — śpiewała Jenny głosem wysokim i czystym jak syrena z Hebrydów, o której mówiła Sandy. Ale jej wzrok szukał zawsze wzroku przyjaciółki.

Panna Brodie wyprowadziła swoje stadko z pracowni muzycznej i zgromadziwszy je wokół siebie powiedziała:

— Wy, dziewczęta, jesteście moim powołaniem. Gdyby jutro miał mi się oświadczyć sam prezes Kolegium Heraldycznego Królestwa Szkocji, odmówiłabym bez namysłu. Postanowiłam poświęcić wam pełnię mojego życia. A teraz ustawcie się w rzędzie i naprzód marsz! Głowy do góry, tak jak poruszała się Sybil Thorndike, kobieta o bardzo szlachetnej postawie.

Sandy odrzuciła głowę do tyłu i celując piegowatym nosem przed siebie maszerowała ze świńskimi oczkami utkwionymi w suficie.

— Co ty wyrabiasz, Sandy?

— Maszeruję jak Sybil Thorndike, proszę pani.

— Ty kiedyś przeholujesz, Sandy.

Sandy robiła wrażenie dotkniętej i zdumionej.

— Tak, Sandy — oświadczyła panna Brodie — ja cię



mam na oku. Widzę, jaka jesteś postrzelona. Obawiam się, że nigdy nie będziesz należała do elity, czy też innymi słowy do *crème de la crème*.

Po powrocie do klasy Rose Stanley powiedziała:

— Poplamiła mi się bluzka atramentem.

— Idź do pracowni chemicznej i wyczyść sobie, ale uważaj, bo z jedwabiem to trudna sprawa.

Czasami młodsze uczennice specjalnie robiły niewielkie atramentowe plamy na rękawach bluzek z grubego jedwabiu, żeby móc pójść do pracowni chemicznej dziewcząt starszych. Bo tam niezwykle intrygująca postać, niejaka panna Lockhart, w białym fartuchu, z krótkimi siwymi włosami ułożonymi w fale i zaczesanymi do tyłu tak, że odsłaniały jej ogorzałą twarz osoby często grywającej w golfa, zwilżała watkę białym płynem z dużego słoja. Następnie tą watką lekko dotykała poplamionego miejsca trzymając przy tym dziewczynkę za ramię, milcząca i skupiona. Rose Stanley chodziła do pracowni chemicznej tylko dlatego, że jej się nudziło, ale Sandy i Jenny plamiły atramentem swoje bluzki w przyzwoitych czterotygodniowych odstępach tylko po to, żeby potrzymała je za rękę panna Lockhart, która w tym dziwnie pachnącym pomieszczeniu zdawała się poruszać spowita kilkucalową warstwą świeżego powietrza. Ten długi pokój stanowił jej naturalne otoczenie i panna Lockhart straciła w oczach Sandy bardzo wiele, kiedy wyszła po lekcjach do swojego sportowego samochodu, w kostiumie ze spódnicą w kontrfałdy, jak pierwsza lepsza nauczycielka. Panna Lockhart w otoczeniu trzech rzędów długich ławek zastawionych słojami do połowy wypełnionymi kolorowymi kryształkami, proszkami i płynami — ochry, brązu, zieleni chromowej i błękitu kobaltowego — i szklanymi naczyniami najdziwniejszych kształtów, pękatymi lub z cienkimi rurkami, była dla Sandy zupełnie odrębnym zjawiskiem. Tylko raz idąc do pracowni chemicznej Sandy trafiła akurat na lekcję. Starsze dziewczęta, wyrosnięte, niektóre już z biustami, stały parami przy pulpitych przed płonącymi palnikami gazowymi. Trzymały probówki z jakąś zieloną substan-

cją i wymachiwały nimi nad płomieniem — wzdłuż wszystkich rzędów ławek dziesiątki takich tańczących zielonych probówek i płomieni. Nagie gałęzie drzew ocierały się o okna tego długiego pokoju, a ponad nimi rozciągało się chłodne zimowe niebo z ogromną czerwoną kulą słońca. Sandy, jak zwykle przytomna, uświadomiła sobie w tej chwili, że lata szkolne mają być najszcześniejszym okresem w jej życiu, i zakomunikowała Jenny swój nieodparty wniosek, że szkoła średnia będzie czymś cudownym i że panna Lockhart jest piękna.

— Wszystkie dziewczęta w pracowni chemicznej robiły właściwie, co chciały — oświadczyła — ale o to przecież chodzi.

— My u panny Brodie też często robimy to, co chcemy — powiedziała Jenny. — Moja mama to mówi nawet, że panna Brodie daje nam za wiele swobody.

— Bo ona ma nam dawać nie swobodę, tylko lekcje — odparła Sandy. — Ale lekcje chemii polegają właśnie na takiej swobodzie, tam to jest dozwolone.

— A mnie się to u panny Brodie podoba — oświadczyła Jenny.

— Mnie też — zgodziła się Sandy. — Moja mama mówi, że ona dba o nasze wykształcenie ogólne.

Tak czy siak, wizyty w pracowni chemicznej należały do najskrytszych przyjemności Sandy, która bardzo starannie obliczała przerwy między jedną a drugą atramentową plamą, żeby nie wzbudzić podejrzeń panny Brodie co do ich przypadkowości. Nauczycielka chemii trzymała ją wtedy za rękę i ostrożnie wywabiała plamę z jej rękawa, a Sandy stała oczarowana tym długim pokojem, który stanowił naturalne otoczenie panny Lockhart, i pełną ładu wspaniałością wszystkiego, co się tam znajdowało. I właśnie wtedy, kiedy po lekcji śpiewu Rose Stanley została wysłana do pracowni chemicznej z atramentową plamą na bluzce, panna Brodie powiedziała:

— Musicie uważać z tym atramentem. Nie chciałabym, żeby moje dziewczęta jedna przez drugą biegały do pracowni chemicznej. Musimy dbać o naszą dobrą opinię.



I po chwili dodała:

— Sztuka jest czymś większym niż nauka. Najpierw sztuka, a dopiero potem nauka.

Zacząła się lekcja geografii i na tablicy rozwieszono mapę. Panna Brodie, ze wskazówką w ręce, zwróciła się ku mapie, żeby pokazać, gdzie leży Alaska. Ale zanim to zrobiła, jeszcze raz odwróciła się do klasy i powiedziała:

— Przede wszystkim sztuka i religia, potem filozofia, a dopiero na końcu nauka. Taki jest porządek najważniejszych w życiu spraw. Taka jest ich hierarchia ważności.

Była to zima pierwszego z dwóch lat, jakie ta klasa spędziła pod kierunkiem panny Brodie. Zaczął się rok tysięcy dziewięćset trzydziesty pierwszy. Panna Brodie zdążyła już wybrać sobie pupilki, a raczej te dziewczęta, którym mogła zaufać. Chodziło może nie tyle o zaufanie do samych dziewcząt, ile do ich rodziców, o pewność, że nie będą kwestionowali śmielszych czy wręcz wywrotowych elementów jej programu nauczania — czy to dlatego, że są na to zbyt światli, czy zbyt nieoświeceni, czy po prostu zbyt szczęśliwi, że mogą kształcić córki w szkole korzystającej z subwencji, albo zbyt ufni, by kwestionować wartość wiedzy zdobywanej przez ich dziecko w szkole cieszącej się tak dobrą opinią. Wybranki panny Brodie bywały zapraszane do niej na herbatę, z zastrzeżeniem jednak, żeby nie mówiły o tym koleżankom, i jako jej powiernice były dokładnie wprowadzone w tajniki jej życia osobistego i szczegóły wojny, którą nieustannie toczyła z dyrektorką i jej sprzymierzeńcami. Dowiedziały się też, na jakie kłopoty naraża się dla nich panna Brodie w swojej pracy zawodowej.

— To dla waszego dobra, dziewczęta, wywieram na was wpływ teraz, w okresie mojej pełni.

Tak powstało stadko panny Brodie. Eunice Gardiner była początkowo taka cicha, że właściwie trudno było zrozumieć, skąd się wzięła wśród dziewcząt panny Brodie. Ale w końcu zaczęła umilać ich wspólne herbatki wyczyniając różne łamańce i młynki na dywanie.

— Jesteś Ariel, Eunice — powiedziała panna Brodie

i po tym Eunice się rozgadała. W niedzielę nie wolno jej było robić młynków, ponieważ pod wieloma względami panna Brodie była najzatwardziałą pod słońcem edynburską starą panną. Mogła więc fikać koziołki na macie jedynie w soboty przed podwieczorkiem albo później na linoleum w kuchni u panny Brodie, w tym czasie, kiedy inne dziewczęta zmywały naczynia i oblizując palce wysysały miód z pustego plastra, który chowały do kredensu.

W dwadzieścia osiem lat po tym, jak robiła u panny Brodie szpagaty, Eunice, już jako pielęgniarka i żona lekarza, powiedziała pewnego dnia do swojego męża:

— W przyszłym roku, jak pojedziemy na Festiwal...

— To co?

Eunice robiła z wełny makatkę i właśnie pomyliła ścieg.

— To co? — powtórzył.

— Jak będziemy w Edynburgu — odparła — przypomnij mi, żebym poszła na grób panny Brodie.

— A kto to była panna Brodie?

— To była moja nauczycielka. Bardzo kulturalna osoba. Ona sama starczyła za cały Edynburski Festiwal. Zapraszała nas do siebie na herbatę i opowiadała nam o swojej pełni.

— O jakiej pełni?

— O pełni swego życia. W czasie jednej z podróży zakochała się w egipskim kurierze i po powrocie wszystko nam opowiedziała. Miała parę pupilek, do których i ja należałam. Robiłam szpagat i to ją bardzo bawiło.

— Zawsze uważałam, że zostałaś dość dziwnie wychowana.

— Ale ona wcale nie była stuknięta. Była najnormalniejsza w świecie. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Wtajemniczała nas też dokładnie w swoje sprawy sercowe.

— No to opowiedz coś.

— O, to długa historia. Ona była starą panną. Muszę koniecznie kupić jakieś kwiaty na jej grób — ciekawe, czy go w ogóle znajdzie.

— A kiedy ona umarła?



— Zaraz po wojnie. Już wtedy nie pracowała. To był cały dramat; zmusili ją, żeby wcześniej odeszła ze szkoły. Dyrektorka nigdy jej nie lubiła. A jej przejście na emeryturę to też osobny rozdział. Zdradziła ją jedna z jej dziewcząt — nazywali nas stadkiem panny Brodie. Nie doszłam do tego, która to zrobiła.

A teraz czas opowiedzieć o długim spacerze po edynburskim starym mieście, na który pewnego marcowego piątku, kiedy w szkole nawaliło centralne ogrzewanie i wszystkie uczennice opatulone wysłano do domu, panna Brodie zabrała swoje dziewczęta, ubrane w ciemnofioletowe przepisowe płaszcze i czarne welurowe kapelusze z zielono-białymi emblematami. Od strony Firth of Forth wiał lodowaty wiatr i niebo było ciężkie od nadchodzącego śniegu. Jenny poszła do domu i Sandy musiała iść w parze z Mary Macgregor. Za nimi szła Monika Douglas, ta, która później zasłynęła z tego, że świetnie liczy w pamięci i że miewa ataki złości. Monika z czerwoną buzią, szerokim nosem, ciemnymi warkoczami wystającymi spod welurowego kapelusza i nogami, które już wtedy w czarnych wełnianych pończochach przypominały słupy. Koło niej maszerowała Rose Stanley, wysoka, jasnowłosa, z bladej cerą, która jeszcze wtedy nie słyngała z seksu i której zainteresowania obracały się wokół pociągów, dźwigów, samochodów, „budownictw” i innych typowo chłopięcych spraw. Nie zastanawiała się zresztą ani nad zasadami działania mechanizmów, ani nad możliwościami konstrukcyjnymi „budownictw”. Znała po prostu ich nazwy, kolory i ceny, tak samo jak marki i moc samochodów. Była też specjalistką od łązenia po murach i drzewach. I chociaż te zainteresowania zyskały Rose Stanley w jedenastym roku życia opinię urwisa, to jednak nie przyniosły one uszczerbku jej kobiecości, a powierzchowna znajomość tych spraw, która stanowiła jak gdyby świadome przygotowanie z jej strony, przydała jej się bardzo w kilka lat później w obcowaniu z chłopcami.

Obok Rose kroczyła panna Brodie, z głową podniesioną do góry jak Sybil Thorndike, ze swoim wspaniałym orlim

nosem. Miała na sobie luźny brązowy tweedowy płaszcz z bobrowym kołnierzem, starannie pozapinany, a na głowie brązowy filcowy kapelusz, którego rondo było z jednej strony podniesione, a z drugiej opuszczone. Za panną Brodie, jako ostatnia, szła mała Eunice Gardiner, ta, która w dwadzieścia osiem lat później powiedziała: „Muszę koniecznie iść na jej grób”, i która teraz podskakiwała co krok, jakby miała zamiar tu, na chodniku, zacząć robić piruety, tak że panna Brodie to odwracała się do tyłu, mówiąc: „Spokój, Eunice!”, to znów zwalniała, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Sandy, która właśnie czytała *Porwanego za młodu*, zagrożona była w rozmowie z bohaterem książki Alanem Breckiem, szczęśliwa, że ma obok siebie Mary Macgregor, do której przynajmniej nie musi się odzywać.

— Mary, możesz porozmawiać z Sandy po cichu.

— Ale Sandy nie chce ze mną rozmawiać — odparła Mary, która później, w czasie pożaru hotelu, biegła jak opętana tam i z powrotem, aż zginęła w płomieniach.

— Sandy nie będzie z tobą rozmawiać, jak będziesz taka niemądra i mrukliwa. Spróbuj przynajmniej zrobić jakąś przyjemniejszą minę.

„Sandy, musisz zanieść tę wiadomość przez wrzosowiska do Macphersonów — rzekł Alan Breck. — Od tego zależy moje życie i w nie mniejszym stopniu powodzenie sprawy.”

„Nigdy cię nie zawiodę, Alanie Breck — odparła Sandy. — Przenigdy.”

— Mary — powiedziała panna Brodie z za ich pleców — nie zostawaj z tyłu za Sandy.

Sandy w podnieceniu wrywała do przodu, gotowa ruszyć przez wrzosowiska na pierwsze skinienie Alana Brecka, którego żarliwa wdzięczność przybrała wzruszające rozmiary.

Mary usiłowała dotrzymać jej kroku, gdy szły przez miejskie Błonia, wietrzny obszar zieleni połyskującej jaszkrawo pod ciężkim od śniegu niebem. Celem ich spaceru było Stare Miasto, panna Brodie uważała bowiem, że po-



winy wiedzieć, gdzie rozgrywały się historyczne wydarzenia; dotarli właśnie do Middle Meadow Walk.

Eunice, idąc sama na końcu, zaczęła podskakiwać w takt wierszyka:

Edinburgh, Leith,  
Portobello, Musselburgh  
I Dalkeith.

Potem zmieniła nogę. „Edinburgh, Leith...”

Panna Brodie odwróciła się i uciszyła ją, po czym zawołała do przodu, do Mary Macgregor, która zagapiła się na nadchodzącego właśnie hinduskiego studenta.

— Mary, czy ty nie zamierzasz iść porządnie?

— Mary — powiedziała Sandy — przestań się gapić na tego ciemnego faceta.

Obsztorcowana dziewczynka spojrzała tępo na Sandy, usiłując przyspieszyć kroku. Ale właśnie Sandy zaczęła iść bardzo nierówno; to wyskakiwała do przodu, to znów przystawała, zasluchana w piosenkę Alana Brecka, który jej śpiewał, gdy wyruszała na wrzosowiska, by przekazać wiadomość i w ten sposób uratować mu życie. Alan śpiewał:

Oto jest pieśń o mieczu Alana:  
Kował go wykuł,  
Ogień zahartował,  
Teraz błyszczy w dłoni Alana Breck.

A potem poklepał ją po ramieniu i powiedział:

„Sandy, jesteś dzielną dziewczyną i nie ustępujesz odwagą żadnemu z ludzi królewskich.”

— Nie idź tak szybko — mruknęła Mary.

— A ty nie trzymasz głowy do góry — odparła Sandy. — Głowa do góry, głowa do góry.

I wtedy nagle Sandy zapragnęła być dobra dla Mary i zaczęła rozważać możliwość odczuwania płynącego stąd zadowolenia. Z tyłu głos panny Brodie mówił do Rose Stanley:

— Jesteście, dziewczynki, tworzywem, z którego powstała przyszła bohaterki. Wielka Brytania musi być krajem godnym bohaterek. Liga Narodów... — Świadomość obecności panny Brodie, kiedy Sandy już-już miała być dobra dla Mary Macgregor, zabiła w niej tę potrzebę. Sandy obejrzała się na swoje koleżanki i zobaczyła je jako jedno ciało z panną Brodie jako głową na czele. Ujrzała siebie, nieobecną Jenny, wiecznie sztorcowaną Mary, Rose, Eunice i Monikę, wszystkie razem w jednym przerażającym momencie, jako zbiorowe spełnienie przeznaczenia panny Brodie, jakby Bóg jedynie w tym celu powołał je do życia.

Pokusa, żeby być dobrą dla Mary Macgregor, przeraziła ją jeszcze bardziej — jak gdyby stawiała ona Sandy poza nawiasem ich społeczności, skazując ją na samotność i potępienie jeszcze straszliwsze niż potępienie samej Mary, która oficjalnie uchodząc za parszywą owcę, mieściła się przynajmniej w kategorii „przyszłych bohaterek”. By więc nie naruszać więzi łączącej ją z grupą, Sandy powiedziała do Mary:

— Nie wyobrażaj sobie, że ja bym szła z tobą, gdyby była Jenny.

Na co Mary odparła:

— Ja wiem.

Więc Sandy znów nabrała do siebie obrzydzenia i co chwila przyczepiała się do Mary w przeświadczeniu, że jeśli robi się coś odpowiednio dużo razy, to w końcu staje się to słuszne. Mary zaczęła płakać, ale cicho, żeby panna Brodie nie zauważyła. Sandy, nie mogąc tego dłużej znieść, postanowiła wysunąć się do przodu, tym razem jako kobieta zameżna robiąca scenę mężowi:

„Powinieneś zrozumieć, Colin, że dla kobiety to jest przykra sytuacja, jak się bezpieczniki przepala, a męża nie ma w domu.”

„Skąd mogłem wiedzieć, kochanie...”

Kiedy doszły do końca Błoni, minęła je grupa harcerek. Całe stadko panny Brodie, z wyjątkiem Mary, przeszło ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Mary gapiła się na



duże, ubrane w ciemnoniebieskie mundurki dziewczęta, o dziarskim, wojskowym wyglądzie, wyrażające się znacznie mniej poprawnie niż one same w obecności panny Brodie. Kiedy harcerki przeszły, Sandy powiedziała do Mary:

— To ordynarnie tak się gapić.

Mary odparła:

— Ja się wcale nie gapiłam.

Tymczasem dziewczęta zaczęły wypytywać pannę Brodie o zuchy i harcerki, ponieważ wiele uczennic z młodszych klas należało do zuchów.

— Dla tych, co lubią takie rzeczy — odparła swoim najlepszym edynburskim akcentem panna Brodie — to jest po prostu coś, co lubią.

W ten sposób zostały skwitowane zuchy i harcerki. Sandy przypomniała sobie podziw panny Brodie dla maszerujących oddziałów Mussoliniego i zdjęcie, które przywiozła z Włoch, przedstawiające triumfalny marsz czarnych koszul w Rzymie.

— To są faszyci — powiedziała panna Brodie i przedliterowała to słowo. — Kto to są ci ludzie, Rose?

— Faszyci, proszę pani.

Byli ciemni jak nie wiem co i maszerowali w idealnie równych szeregach, z rękami uniesionymi pod tym samym kątem, a Mussolini stał na podium, jak nauczyciel gimnastyki albo drużynowa harcerki, i ich obserwował. Z pomocą swoich faszystów Mussolini położył kres bezrobociu i oczyścił ulice ze śmieci. I właśnie tam, na końcu Middle Meadow Walk, Sandy uświadomiła sobie, że one są właśnie faszystami panny Brodie, nie dosłownie może maszerującymi, ale związanymi ściśle jej celami i w jakimś sensie jednak maszerującymi. Wszystko było niby w porządku, ale jednocześnie Sandy odniosła wrażenie, że niechęć panny Brodie do harcerki wynika z zazdrości, że jest w tym jakaś niekonsekwencja, jakiś błąd. Może harcerki w pewnym sensie rywalizowały z faszystami i panna Brodie nie mogła tego znieść. Sandy pomyślała, że warto się zastanowić nad wstąpieniem do zuchów. A potem znów ją opa-

nował lęk przed wyobcowaniem z grupy i Sandy musiała przegnać tę myśl, bo kochała pannę Brodie.

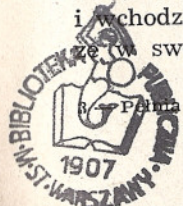
„Jesteśmy godnymi siebie partnerami, Sandy — rzekł Alan Breck w kajucie na statku, rozdeptując w kałuży krwi stłuczoną szklanę, i biorąc ze stołu nóż odciął jeden ze swoich srebrnych guzików. — Gdziekolwiek pokażesz ten guzik, nie zabraknie wokół ciebie przyjaciół Alana Brecka.”

— Skręcamy w prawo — powiedziała panna Brodie.

Zbliżyły się właśnie do Starego Miasta, którego dziewczęta jak dotąd nie miały okazji zwiedzić, ponieważ ich rodzice nie odznaczali się aż takim kultem dla historii, by je prowadzić w gąszcz cuchnących slumsów, jaki w owych czasach przedstawiało Stare Miasto. Canongate, Grassmarket, Lawnmarket — były to nazwy, które kojarzyły się z ponurą dziedzina zbrodni i rozpaczy: *Więzień z Lawnmarket*.

Jedynie Eunice Gardiner i Monika Douglas szły kiedyś pieszo przez High Street po wyjściu z Zamku albo z Holyrood. Sandy była w Holyrood z wujkiem, jego samochodem, i widziała łożę, za krótkie i za szerokie, w którym spiała Maria, królowa Szkotów, i maleńki pokój, znacznie mniejszy od ich słuźbówki, w którym królowa grywała w karty z Rizziem.

Teraz znalazły się na dużym placu, Grassmarket, na którym stał Zamek, widoczny praktycznie zewsząd; wznosił się w szerokiej przerwie między domami, które zamieszkiwała dawniej arystokracja. Było to pierwsze zetknięcie Sandy z obcym krajem, który daje o sobie znać przede wszystkim poprzez swoje inne zapachy i kształty i poprzez swoich innych biednych. Na lodowatym chodniku siedział człowiek, po prostu siedział. W pobliżu ugaśniała się banda dzieciaków, niektóre bose, a kilku chłopców wykrzykiwało za fioletowo ubranymi pupilkami panny Brodie słowa, których one nie znały, ale które słusznie brały za nieprzyzwoite. Z ciemnych bram wychodziły i wchodziły dzieci i kobiety w szalach. Sandy stwierdziła, że swoim osłupieniu trzyma Mary za rękę; wszystkie



92047-46

życia panny Brodie



dziewczęta zresztą trzymały się za ręce, podczas gdy panna Brodie mówiła im o historii. Weszły w High Street i:

— John Knox — mówiła panna Brodie — był człowiekiem rozgoryczonym. Nigdy właściwie nie czuł się dobrze w towarzystwie frywolnej francuskiej królowej. My, edynburczycy, wiele zawdzięczamy Francuzom. Dzięki nim jesteśmy Europejczykami. — Zaduch zrobił się nie do wytrzymania. Kawałek dalej przed nimi na High Street zebrał się tłum. — Przejdźcie spokojnie — powiedziała panna Brodie.

W otoczeniu gapiów stali mężczyzna i kobieta. Klócili się głośno i mężczyzna dwukrotnie uderzył kobietę w głowę. Z tłumy wysunęła się kobieta, bardzo mała, z czarnymi, krótko przystrzyżonymi włosami, czerwoną twarzą i szerokimi ustami, złapała mężczyznę za rękę i powiedziała:

— Ja będę twoim mężczyzną.

Później Sandy wiele razy rozpamiętywała tę scenę, ponieważ była pewna, że ta mała kobieta powiedziała wtedy: „Ja będę twoim mężczyzną”, a nie: „Ja będę twoją kobietą”, ale nigdy nie znalazła na to odpowiedzi.

I nieraz jeszcze w życiu rozmawiając z ludźmi, którzy spędzili dzieciństwo w Edynburgu, uświadamiała sobie, nie bez zaskoczenia, że istniały Edynburgi innych ludzi, zupełnie inne niż jej Edynburg, z którymi łączyły ją tylko nazwy dzielnic, ulic i pomników. Tak samo zresztą, jak istniały lata trzydzieste innych ludzi. Kiedy więc będącej wówczas w średnim wieku Sandy zezwolono wreszcie na przyjmowanie tych wszystkich gości w klasztorze — tak liczne odwiedziny były wbrew regule, ale dla Sandy wystarano się o specjalną dyspensę ze względu na jej rozprawę — i kiedy pewien mężczyzna powiedział: „Musiałem chodzić w Edynburgu do szkoły w tym samym czasie co siostra, siostra Heleno”, Sandy, która już od kilku lat była siostrą Heleną od Przemienienia Pańskiego, uchwyciła się rękami metalowych prętów kratki, jak to miała w zwyczaju, i przyglądając mu się badawczo małymi, słabymi oczkami prosiła, żeby jej opowiedział o swoich szkol-

nych czasach i o Edynburgu, jaki on znał. I znów okazało się, że jego Edynburg był inny niż Edynburg Sandy. Jego szkoła, z internatem, w którym mieszkał, była zimna i szara. Jego nauczycielami byli zarozumiali Anglicy „albo prawie Anglicy”, jak się wyraził, „z dyplomami najgorszej kategorii”. Sandy nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek kwestionowała dyplomy swoich nauczycieli, a jej szkoła zawsze była rozświetlona słońcem albo — w zimie — perłowym północnym blaskiem.

— Ale Edynburg — powiedział mężczyzna — był pięknym miastem, znacznie piękniejszym niż teraz. Chociaż trzeba przyznać, że zlikwidowano slumsy. Ale zawsze najbardziej lubiłem Stare Miasto. Uwielbialiśmy buszować po Grassmarket i w ogóle. Pod względem architektonicznym nie ma w Europie nic piękniejszego.

— Raz zabrano mnie na spacer na Canongate — powiedziała Sandy — ale byłam przerażona tą nędzą.

— No cóż, to były lata trzydzieste — odparł mężczyzna. — Niech mi siostra powie, siostrze Heleno, co wywarło na siostrę największy wpływ w latach trzydziestych? To znaczy w wieku dorastania? Czytywała siostra Audena i Eliota?

— Nie — odparła Sandy.

— My chłopcy byliśmy szalonymi miłośnikami Audena i całej tej grupy. Wszyscy chcieliśmy jechać do Hiszpanii i brać udział w wojnie domowej. Naturalnie po stronie republikanów. Czy wy, w waszej szkole, opowiadałyście się po którejś stronie w hiszpańskiej wojnie domowej?

— Właściwie to nie — odrzekła Sandy. — Dla nas to była zupełnie inna sprawa.

— Oczywiście wtedy nie była siostra katoliczką?

— Nie — odparła Sandy.

— Wpływy, jakim człowiek w tym wieku podlega, są ogromnie ważne — rzekł mężczyzna.

— O tak — przyznała Sandy — nawet jeśli prowokują bunt.

— Co więc wywarło na siostrę największy wpływ, sio-



stro Heleno? Czy były to wpływy o charakterze politycznym, czy osobistym? A może kalwinizm?

— Ach, nie — odrzekła Sandy — była niejaka panna Brodie w pełni swojego życia. — Chwyliła pręty kratki, jakby chciała uciec z mrocznej rozmównicy, bo Sandy nie była stateczna jak inne zakonnice, które przyjmowały swoich rzadkich gości zaszyte głęboko w mroku, ze złożonymi rękami. Sandy, zawsze przylepiona do kratki, wyglądała między prętami, trzymając się ich oburącz, co nie uszło uwagi innych siostr, które orzekły, że świat za bardzo naprzykrza się siostrze Helenie, odkąd opublikowała tę swoją książkę psychologiczną, zyskując nieoczekiwanie taki rozgłos. Ale Sandy narzucono tę dyspensę i dlatego stała uczepona rękami żelaznych prętów i przyjmowała różne ważne osobistości — psychologów i katolickich badaczy, wysoko postawione dziennikarki i uczonych, którzy chcieli z nią podyskutować na temat jej dziwnej rozprawy psychologicznej o naturze percepcji moralnej, zatytułowanej *O przemienieniu codzienności*.

— Nie pójdziemy do Św. Idziego — powiedziała panna Brodie — robi się późno. Ale chyba wszystkie byłyście już w katedrze Św. Idziego, prawda?

Prawie wszystkie były w katedrze Św. Idziego, z jej postrzępionymi i splamionymi krwią historycznymi sztan-darami. Sandy nie była, ale nie miała ochoty iść. Prze-rażały ją sylwetki starych edynburskich kościołów, zbudowanych z ciemnego kamienia, wszystkie do siebie podobne, wszystkie koloru skały zamkowej, z groźnie wzniesionymi do góry palcami wież.

Panna Brodie pokazała im zdjęcie katedry kolońskiej, przypominającej tort weselny, jak gdyby została zbudowana specjalnie z myślą o przyjemnościach, zabawach i przyjęciach wydawanych przez syna marnotrawnego w początkach jego kariery. Ale wnętrza szkockich kościołów budziły większe zaufanie, ponieważ w czasie nabożeństw mieściły ludzi, a nie duchy. Rodziny Sandy, Rose Stanley i Moniki Douglas były wierzące, ale nie praktykujące. Jenny Gray i Mary Macgregor były prezbiteriankami

i chodziły do szkoły niedzielnej. Eunice Gardiner należała do Kościoła episkopalnego i twierdziła, że nie wierzy w Jezusa, tylko w Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego. Sandy, która wierzyła w duchy, uważała koncepcję Ducha Świętego za prawdopodobną. Cała ta kwestia została w tym zimowym okresie postawiona przez pannę Brodie, która choć wierna obyczajom Kościoła szkockiego z czasów swojej młodości i przestrzegająca odpoczynku niedzielnego, teraz w pełni życia uczęszczała wieczorami na uniwersytet, by słuchać wykładów z religii porównawczej. Dzięki temu jej dziewczęta były o wszystkim doskonale poinformowane i po raz pierwszy w życiu dowiedziały się, że niektórzy przyzwoici ludzie nie wierzą w Boga, nawet w Allacha. Mimo to miały pilnie studiować Ewangelie dla ich prawdy i dobra i czytać je głośno dla ich piękna.

Doszły do szerokiej Chambers Street. Grupa zmieniła szyk i szła teraz trójkami; panna Brodie kroczyła na czele pomiędzy Sandy i Rose.

— W poniedziałek podczas pierwszej przerwy mam się zgłosić do dyrektorki — powiedziała panna Brodie. — Jestem pewna, że będzie kwestionowała moje metody nauczania. Już tak bywało. I znów tak będzie. Tymczasem zgodnie z moimi zasadami edukacji daję z siebie maksimum tego, co mogę dać w pełni swego życia. Słowo „edukacja” składa się z przedrostka „e” od „ex”, tyle co nasze „wy”, i „duco” — prowadzę. Czyli wyprowadzam. Dla mnie edukacja to wydobywanie tego, co istnieje w umyśle ucznia. Dla panny Mackay to wprowadzanie czegoś, czego tam nie ma, a tego ja nie nazywam edukacją, nazywam to wtłaczaniem. Metoda panny Mackay polega na wtłaczaniu do głowy ucznia mnóstwa informacji; moja metoda polega na wydobywaniu z niej wiedzy, i to jest właśnie prawdziwa edukacja, zgodna z rdzennym znaczeniem tego słowa. Panna Mackay zarzuca mi, że nabijam moim uczniom głowy różnymi rzeczami, ale to właśnie ona ma ten zwyczaj, moje metody polegają na czymś wręcz przeciwnym. Nigdy nie pozwalajcie nikomu mówić, że ja wam



nabijam czymkolwiek głowy. Sandy, co to znaczy „edukacja”?

— Wydobywanie — odparła Sandy, która właśnie redagowała oficjalne zaproszenie dla Alana Brecka w rok i dzień po ich szalonej ucieczce przez wrzosowiska.

„Panna Sandy Stranger ma przyjemność zaprosić pana Alana Brecka na kolację, która odbędzie się we wtorek 6 stycznia o godzinie 20<sup>00</sup>.”

Bohater *Porwanego za młodu* zdziwi się otrzymawszy nagle to zaproszenie, już z nowym adresem Sandy, z domu stojącego na uboczu, w porcie nad brzegiem Fife — opisanego w powieści przez córkę Johna Buchana — który w tajemniczy sposób przeszedł na własność Sandy. Alan Breck zjawi się na pewno w pełnym stroju góralskich. A jeśli w trakcie wieczoru ogarnie ich nagłe pożądanie, stracą głowy i dojdzie do stosunku płciowego? Scena ta rozgrywała się właśnie w jej wyobraźni i Sandy nie mogła się powstrzymać od tych dociekań. Dyskutowała sama z sobą: oczywiście ludzie muszą myśleć, ale kiedy się rozbierają, muszą na chwilę przestać, żeby pomyśleć, a skoro przestaną, żeby pomyśleć — jak mogą stracić głowę?

— To jest Citroën — rzuciła pod adresem przejeżdżającego samochodu Rose Stanley. — To Francuzi.

— Sandy, nie wrywaj tak do przodu. Daj mi rękę — powiedziała panna Brodie. — Rose, tobie tylko samochody w głowie. Nie mam nic przeciwko samochodom, ale istnieją rzeczy bardziej wzniosłe. Jestem pewna, że Sandy nie myśli teraz o samochodach, tylko o tym, co ja mówię, jak dobrze ułożona dziewczynka.

Jeśli ludzie rozbierają się w tym samym pokoju, rozważała dalej Sandy — a to jest takie wulgarne — to przecież na moment pożądanie musi im przechodzić. A skoro pożądanie przechodzi choć na moment, to jak mogą stracić głowę pod wpływem nagłego impulsu? I jeśli wszystko to dzieje się w oka mgnieniu...

Panna Brodie powiedziała:

— Chcę więc po prostu wyjaśnić panie Mackay, że na-

sze metody nauczania różnią się radykalnie. Słowo „radykałnie” pochodzi od łacińskiego „radix” — korzeń. Pani dyrektorka i ja różnimy się zasadniczo w poglądach na kwestię, czy naszą rolą jest kształtować umysły dziewcząt, czy pewne rzeczy wtłaczać im do głowy. Dyskutowaliśmy już nie raz na ten temat, ale mówiąc oględnie, logika nie jest najmocniejszą stroną panny Mackay. A logika to sztuka rozumowania. Co to jest logika, Rose?

— Chodzi o rozumowanie, proszę pani — odparła Rose, która później, jeszcze w szkole, miała wprawić pannę Brodie najpierw w osłupienie, potem w podziw, a wreszcie w bezgraniczny entuzjazm dla roli, jaką zdawała się odgrywać: wielkiej amantki, wyższej ponad przeciętność zwykłych kochanków, ponad prawa moralne, Wenus wcielonej, zjawiska wyjątkowego. W rzeczywistości Rose we wspomnianym czasie nie miała tego romansu, o który ją posądzała panna Brodie, chociaż wszystko na to wskazywało i Rose słynęła z seksu. Ale wtedy, w czasie tego zimowego spaceru, jedenastoletnia zaledwie Rose interesowała się samochodami, a panna Brodie nie przeżywała jeszcze swej pełni na tyle głęboko, żeby napomykać o sprawach płci inaczej, jak przez bardzo delikatne aluzje. Na przykład wspominała o swoim narzeczonym żołnierzu: „To był mężczyzna czysty”, albo czytała im fragment poematu Jamesa Hogga *Piękna Kilmeny*: „Kilmeny była czysta czystością największą...”, dodając przy tym: „To znaczy, nie schodziła w doliny, żeby zadawać się z mężczyznami.”

— Kiedy zobaczę się z panną Mackay w poniedziałek rano — powiedziała panna Brodie — zwrócę jej uwagę, że na mocy mojej umowy o pracę nie może potępiać moich metod nauczania, o ile mi nie udowodni, że w tym, czego was ucze, jest coś nieprzyzwoitego czy wywrotowego, czy przynajmniej, że nie jesteście dostatecznie przygotowane do egzaminów końcowych. Ale ufam, dziewczęta, że postaracie się jakoś przez to przebrnąć, nawet gdyby miało wam to wszystko na drugi dzień wylecieć z głowy. Co do nieprzyzwoitości zaś — tego mi nikt nie może zarzucić, chyba tylko na podstawie tendencyjnie kłamliwego



donosu. Ale nie sędzę, żeby mnie kiedykolwiek ktoś zdradził. Panna Mackay jest ode mnie młodsza i ma większe uposażenie. To przypadek. Najwyższe kwalifikacje, jakie można było zdobyć na uniwersytecie za moich czasów, były niższe od dostępnych pannie Mackay. Dlatego ma wyższe stanowisko. Ale jej zdolność logicznego myślenia jest tak ograniczona, że nie mam powodów do obaw przed poniedziałkowym spotkaniem.

— Panna Mackay ma okropnie czerwoną twarz, całą w takie żyłki — powiedziała Rose.

— W żadnym razie nie mogę pozwolić na tego rodzaju uwagi w mojej obecności, Rose — odparła panna Brodie — byłby to brak lojalności z mojej strony.

Doszły do końca Lauriston Place i minęły straż pożarną, skąd miały pojechać tramwajem na Churchhill do panny Brodie na podwieczorek. W tej części ulicy stała bardzo długa kolejka mężczyzn. Byli bez kołnierzyków, nędznie ubrani. Rozmawiając soplwali i palili małe pety, które trzymali kciukiem i środkowym palcem.

— Tutaj przejdziemy przez jezdnię — powiedziała panna Brodie i przepędziła swoje stadko na drugą stronę.

Monika Douglas szepnęła:

— To niezatrudnieni.

— W Anglii nazywają ich bezrobotni. Czekają na zasiłek przed urzędem zatrudnienia — wyjaśniła panna Brodie. — Musicie się modlić za bezrobotnych. Napiszę wam specjalną modlitwę. Wiecie wszystkie, co to jest zasiłek?

Eunice Gardiner nigdy o tym nie słyszała.

— To jest suma, jaką państwo wypłaca tygodniowo bezrobotnym i ich rodzinom tytułem pomocy. Czasami, zanim zdążą donieść ten zasiłek do domu, przepijają go po drodze i wtedy ich dzieci głodują. To nasi bracia. Sandy, w tej chwili przestań się gapić. We Włoszech problem bezrobocia został rozwiązany.

Sandy czuła, że to nie ona gapi się przez ulicę na nie kończącą się kolejkę braci, tylko że oni sami przyciągają jej wzrok, i znów ogarnął ją lęk. Niektórzy mężczyźni patrzyli na dziewczęta, ale najwyraźniej ich nie dostrze-

gali. Stadko panny Brodie doszło do przystanku tramwajowego. Mężczyźni bez przerwy mówili i spluwali, od czasu do czasu wybuchając śmiechem, który przechodził w kaszel i też kończył się spluwaniem.

Kiedy czekały na tramwaj, panna Brodie powiedziała:

— Zaraz po przyjeździe na studia do Edynburga mieszkałam na tej ulicy. Muszę wam opowiedzieć o mojej gospodynie, która była bardzo oszczędna. Co rano przychodziła do mnie do pokoju zapytać, co będę jadła na śniadanie, i mówiła tak: „Zjadłabyś śledzia wędzonego? — nie, na pewno byś nie zjadła. A może byś chciała jajko na miękko? — nie, na pewno byś nie chciała.” W rezultacie przez cały czas, jak tam mieszkałam, nie jadłam na śniadanie nic innego, jak tylko chleb z masłem, i to w bardzo skromnych ilościach.

Śmiech dziewcząt zmieszał się ze śmiechem stojących naprzeciwko mężczyzn, którzy właśnie powoli, falami, zaczęli wchodzić do urzędu zatrudnienia. Lęk Sandy powrócił, gdy tylko przestała się śmiać. Widziała węża posuwającego się wolno, skokami, pulsującego życiem, jak cielsko smoka, który nie ma prawa przebywać w mieście, a który ani myśli stąd odejść, ani nie daje się zabić. Myślała o głodujących dzieciach i to jakoś łagodziło jej strach. Chciało jej się płakać, jak zwykle na widok ulicznego śpiewaka czy żebraka. Żałowała, że nie ma tu Jenny, bo Jenny zawsze płakała z powodu biednych dzieci. Ale wążowy stwór naprzeciwko zaczął drzeć na zimnie i Sandy też zaczęła dygotać. Odwróciła się i powiedziała do Mary Macgregor, która otarła się o jej rękaw:

— Przestań się pchać.

— Mary, kochanie, naprawdę nie można się pchać — zwróciła jej uwagę panna Brodie.

— Ja się wcale nie pcham — odparła Mary.

W tramwaju Sandy wymówiła się od herbaty u panny Brodie pod pretekstem zaziębienia. I rzeczywiście miała dreszcze. Zapragnęła w tym momencie znaleźć się w ciepłym domu, poza murami którego nawet stadko panny Bro-



die w swoich zwartych szeregach wiodło znacznie surowsze życie.

Ale później, kiedy wyobraziła sobie Eunice fikającą koźły i robiącą szpagaty na kuchennym linoleum panny Brodie, podczas gdy inne dziewczęta zmywały naczynia, żalowała, że mimo wszystko nie poszła z nimi. Wyjęła spomiędzy nut swój tajny brulion i dodała jeszcze jeden rozdział do *Górskiego szalasu*, prawdziwej historii miłości Jean Brodie.

### ROZDZIAŁ III

Mijały dni i od strony Forth wiał wiatr.

Nie należy uważać, że panna Brodie w tym okresie swojej pełni stanowiła zjawisko wyjątkowe albo że (są to rzeczy względne) była w jakiś sposób nienormalna. Odosobniona była jedynie w tym, że uczyła w szkole takiej jak szkoła imienia Marcji Blaine. Istniały całe zastępy podobnych do niej w latach trzydziestych — kobiet po trzydziestce, skazanych przez wojnę na staropanieństwo, które urozmaicały sobie odkrywczymi podróżami w dziedzinie nowych idei i ożywioną działalnością artystyczną, społeczną, pedagogiczną czy religijną. Edynburskie postępowe stare panny nie uczyły w szkołach, zwłaszcza w szkołach o charakterze tradycyjnym, jak żeńska szkoła imienia Marcji Blaine. I to tu właśnie panna Brodie była — jak to określiły stare panny jej koleżanki — odrobinę nie na miejscu. Całkowicie na miejscu była natomiast wśród innych przedstawicielek swojego gatunku, pełnych wigoru cór zmarłych czy stetryczałych kupców, pastorów, profesorów uniwersyteckich, właścicieli wielkich domów towarowych z dawnych czasów czy przedsiębiorstw rybackich, którzy wyposażyli swoje córki w inteligencję, rumianą cerę, końskie zdrowie, rozsądne wykształcenie, niespożytą energię i środki finansowe. Widywało się je o trzeciej po południu, jak oparte o demokratyczne kontuary edynburskich sklepów spożywczych dyskutowały z właścicielami

na każdy temat, poczynając od autentyczności Pisma świętego, a kończąc na znaczeniu słowa „gwarantowany” na słoikach z dżemem. Chodziły na odczyty, próbowały żywić się miodem i orzechami, brały lekcje niemieckiego i robiły piesze wycieczki po Niemczech; kupowały przyczepy campingowe i jeździły z nimi na górzyste pojezierze; grały na gitarze i wspierały wszystkie nowo powstałe zespoły teatralne; wynajmowały mieszkania w slumsach i rozdając puszki farby uczyły swoich sąsiadów sztuki prostej dekoracji wnętrz, były głosicielkami zdobyczy Marie Stopes, uczestniczyły w zebraniach Grupy Oksfordzkiej i poddawały spirytualizm próbie swoich sokolich oczu. Niektóre popierały szkocki ruch narodowy; inne, jak panna Brodie, nazywały się Europejkami, a Edynburg europejską stolicą, miastem Hume'a i Boswella.

Nie były to jednak działaczki komitetów ani nauczycielki. Stare panny z komitetów, mniej przedsiębiorcze i zupełnie nie buntownicze, były to osoby stateczne, sumienne w spełnianiu obowiązków religijnych, ciche i pracowite. Nauczycielki reprezentowały jeszcze stateczniejszy typ: zarabiały na swoje utrzymanie, mieszkaly z leciwymi rodzicami, chodziły na spacerki na wzgórze i spędzały urlopy w North Berwick.

Ale te z gatunku panny Brodie były to bardzo gadatliwe feministki i jak większość feministek rozmawiały z mężczyznami po męsku.

„Zapewniam pana, panie Geddes, że jedyne rozwiązanie problemu klasy robotniczej to kontrola urodzin. Darmowe środki antykoncepcyjne dla każdej rodziny...”

A często w dobrze prosperujących sklepach spożywczych o trzeciej po południu:

„Panie Logan, chociaż pan jest działaczem kościelnym, może pan wierzyć kobiecie w pełni życia: o niebo większe korzyści religijne odniesie pan z niedzielnych koncertów profesora Toveya niż ze swoich kościelnych praktyk.”

Jeśli ktoś patrzył na pannę Brodie pod tym kątem, nie rzucało się w niej w oczy nic szczególnego. Z jej wnętrzem sprawa przedstawiała się zgoła inaczej: wystarczyło



zaobserwować skrajności, do jakich doprowadziły pannę Brodie jej naturalne dyspozycje. Na zewnątrz różniła się od reszty grona nauczycielskiego tym, że w dalszym ciągu podlegała procesowi rozwoju, podczas gdy jej koleżanki, zupełnie zresztą słusznie, nie ufały sobie na tyle, by zmieniać poglądy, zwłaszcza w sprawach etycznych, po dwudziestym roku życia. Nie istniało nic takiego, czego by się panna Brodie nie mogła jeszcze nauczyć, i tym się szczyciła. „To jest pełnia mojego życia i wy z niej czerpicie” — mówiła swoim dziewczynom panna Brodie, której osobowość zmieniała się w ich oczach, podobnie jak one same podlegały procesowi rozwoju. I trwała ta pełnia panny Brodie, wciąż twórcza, aż do czasów, kiedy dziewczynki były już dużymi pannicami, a zasady, którymi miała się kierować u schyłku, zdumiałyby ją samą na początku tej pełni.

Wakacje 1931 roku zbiegły się z pierwszą rocznicą inauguracji pełni życia panny Brodie. Nadchodzący rok miał upłynąć pod znakiem seksu jej dziewczętom, które zakończyły właśnie jedenaście i dwanaście lat, miał być okresem obfitującym w sensacyjne odkrycia. W późniejszych latach seks był jedną z wielu życiowych spraw. W tym roku był wszystkim.

Rok szkolny zaczął się z rozmachem, jak zawsze. Panna Brodie, opalona, stojąc przed klasą mówiła:

— Jeszcze raz spędziłam prawie całe wakacje we Włoszech, a tylko tydzień w Londynie, i przywiozłam dużo zdjęć, które będziemy mogły poprzipinać na ścianie. To jest Cimabue. A tu jest większy oddział faszystów Mussoliniego, wyraźniej ich widać niż na tym zeszlórocznym zdjęciu. Robią wspaniałe rzeczy, o czym powiem wam później. Byłam z przyjaciółmi na audyencji u papieża. Oni pocałowali pierścień, a ja uznałam za stosowne pochylić się tylko nad nim. Byłam w długiej czarnej sukni i koronkowej mantyli i wyglądałam wspaniale. W Londynie moi przyjaciele, bardzo dobrze sytuowani ludzie — ich córeczka ma dwie nursy, czy też nianie, jak to mówią w Anglii — zabrali mnie z wizytą do A. A. Milne'a. W hallu

wisi u niego reprodukcja obrazu Botticellego *Primavera*, czyli *Wiosna*. Miałam na sobie jedwabną suknię w duże czerwone maki, która znakomicie podkreśla moją karnację. Mussolini to jeden z najwybitniejszych ludzi na świecie, znacznie wybitniejszy od Ramsaya MacDonalda, a jego faszyści...

— Dzień dobry, panno Brodie. Dzień dobry, dziewczęta, siadajcie — powiedziała dyrektorka, która weszła w pośpiechu, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

Panna Brodie minęła ją z tyłu, z głową uniesioną wysoko, wysoko do góry, i znacząco zamknęła drzwi.

— Ja wpadłam tylko na chwilę — wyjaśniła panna Mackay — zaraz muszę lecieć. No cóż, dziewczęta, dzisiaj pierwszy dzień nowego roku szkolnego. Nosy mamy na kwintę? Ale gdzie tam! Musicie uczyć się bardzo przyswoicie wszystkich przedmiotów, żeby chlubnie zdać egzaminy. Pamiętajcie, że w przyszłym roku będziecie już seniorkami. Mam nadzieję, że wakacje wam się udały — wyglądacie ładnie, jesteście opalone. Spodziewam się wkrótce przeczytać wasze wypracowania o tym, jak spędziłyście lato.

Po wyjściu panny Mackay panna Brodie dłuższy czas patrzyła jeszcze na drzwi. Jedna z dziewcząt nie z jej stadka, Judith, zachichotała. Panna Brodie powiedziała do Judith:

— Dość już. — Odwróciła się do tablicy i wymazała gąbką długi przykład na dzielenie, przygotowany na wypadek, gdyby ktoś niepowołany zjawił się akurat w momencie, kiedy panna Brodie nie zajmowała się arytmetyką. Skończywszy, odwróciła się do klasy i powiedziała:

— Nosy mamy na kwintę — ale gdzie tam! Nosy mamy na kwintę — ale gdzie tam! Jak wam mówiłam, Mussolini dokazał niebywałych rzeczy i bezrobocie jeszcze zmalało w stosunku do ubiegłego roku. Wiele rzeczy będę wam mogła w tym roku powiedzieć. Jak wiecie, nie jestem zwolenniczką traktowania was jak dzieci, potraficie przyswoić sobie więcej, niż na ogół starsi sądzą. Edukacja oznacza wprowadzanie, od „e”, czyli „wy”, i „duco” — „prowa-



dzę". Egzaminy egzaminami, a wy skorzystacie z moich doświadczeń zdobytych we Włoszech. W Rzymie widziałam Forum i Koloseum, gdzie umierali gladiatorzy i gdzie rzucono niewolników lwom na pożarcie. Pewien amerykański prostak powiedział do mnie: „To wygląda jak fantastyczny kamieniołom.” Oni mają nosową wymowę. Mary, co to znaczy wymowa nosowa?

Mary nie wiedziała.

— Tępa jak zawsze — powiedziała panna Brodie. — Eunice?

— Przez nos — odparła Eunice.

— Odpowiedz całym zdaniem — upomniała ją panna Brodie. — W tym roku powinniście już zacząć odpowiadać pełnymi zdaniami, muszę o tym pamiętać. Poprawna odpowiedź brzmi: „Wymowa nosowa polega na wymawianiu przez nos.” Amerykanin powiedział: „To wygląda jak fantastyczny kamieniołom.” Ach! To tam walczyli gladiatorzy. „Witaj, Cezarze!” — wołali. — „Pozdrawiają cię idący na śmierć!”

Panna Brodie stała w swojej brązowej sukni jak gladiator, z uniesioną do góry ręką i oczami, które miały błyski jak miecz.

— Witaj, Cezarze! — wykrzyknęła ponownie i rozpromieniona odwróciła się do okna, jak gdyby siedział tam Cezar. — Kto otworzył okno? — spytała opuszczając rękę.

Nikt nie odpowiedział.

— Obojętne, która otworzyła, okno jest w każdym razie otwarte za szeroko — rzekła panna Brodie. — Sześć cali w zupełności wystarczy. Otwierać szerzej jest w złym guście. Powinno się mieć wrodzone wyczucie tych rzeczy. Według planu mamy teraz historię. Wyjmijcie książki do historii i podeprzyjcie je rękami. Opowiem wam jeszcze trochę o Włoszech. Koło fontanny spotkałam młodego poetę. O, a ten obraz przedstawia spotkanie Dantego z Beatrycze — po włosku wymawia się to imię Beatriczej, dlatego jest takie piękne — na Ponte Vecchio. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Mary, siedź prosto, nie garb się.

Była to wzniosła chwila tej wzniosłej miłości... Kto namałował ten obraz?

Nikt nie wiedział.

— Namałował go Rossetti. Kto to był Rossetti, Jenny?

— Malarz — odparła Jenny.

Panna Brodie zrobiła podejrzliwą minę.

— I geniusz — dodała Sandy, przychodząc Jenny z pomocą.

— Przyjaciół...? — zawiesiła głos panna Brodie.

— Swinburne'a — odpowiedziała jedna z dziewcząt.

Panna Brodie uśmiechnęła się.

— Nie zapomnieliście — powiedziała rozglądając się po klasie — mimo wakacji. Trzymajcie książki do historii podparte, na wypadek gdyby nam jeszcze ktoś miał przeszkodzić. — Spojrzała z dezaprobatą w stronę drzwi i uniosła z godnością swoją wspaniałą, ciemną rzymską głowę. Często mówiła dziewczętom, że poległy Hugh podziwiał jej rzymski profil.

— W przyszłym roku będą was uczyli specjaliści: kto inny historii, kto inny matematyki, kto inny języków; czterdzieści pięć minut na to, czterdzieści pięć minut na tamto. Ale w tym ostatnim roku ze mną zbierzecie owoce pełni mojego życia. I to wam zostanie na zawsze. Ale najpierw, póki pamiętam, muszę sprawdzić listę obecności. Mamy dwie nowe. Wstańcie, nowe dziewczynki.

Dziewczynki wstały, z szeroko otwartymi oczyma, gdy tymczasem panna Brodie usiadła przy katedrze.

— Przyzwyczajcie się do naszych obyczajów. Jakich jesteście wyznań? — spytała z piórem uniesionym nad otwartym dziennikiem, podczas gdy na dworze mewy ciągnące znad Firth of Forth przelatywały właśnie nad szkołą, a zielonozłociste czubki drzew chyliły się ku oknom.

Zamyślona Jesieni, w szaro-złociste przyjdź teraz

I uspokój mnie wieścią, że Natura umiera.

— Robert Burns — rzekła panna Brodie zamykając dziennik. — Wkroczyliśmy już na dobre w lata trzydzieste. Mam tutaj w szufladzie cztery funty rumianych ja-



blek, prezent z sadu pana Lowthera, zjedzmy je teraz, póki horyzont jest czysty. Nie dlatego, żebyśmy ja samą nie mogła tymi jabłkami dysponować, ale lepsza rozważa... lepsza rozważa... Sandy?

— ...niż odwaga, proszę pani. — Małe oczki Sandy patrząc na pannę Brodie zrobiły się jeszcze mniejsze.

Już przed oficjalną inauguracją pełni życia panny Brodie jej koleżanki, nauczycielki niższych klas, po trochu zaczęły się zwracać przeciwko niej. Nauczycielki klas starszych, które nie odczuły jeszcze na własnej skórze, co znaczy stadko panny Brodie, odnosiły się do niej obojętnie albo z pobłażliwym uśmiechem; czekało je to w przyszłym roku, ale nawet wtedy nie były specjalnie oburzone efektami tego, co nazywały eksperymentalnymi metodami panny Brodie. Wrzenie wybuchło wśród nauczycielek klas podstawowych, kobiet o niższych kwalifikacjach i poborach, z którymi panna Brodie miała do czynienia na co dzień. W całym gronie nauczycielskim istniały dwa wyjątki, dwaj panowie, którzy nie odnosili się do panny Brodie ani wrogo, ani obojętnie — przeciwnie, miała w nich zawsze oddanych popleczników. Jednym z nich był pan Gordon Lowther, nauczyciel śpiewu wszystkich klas — zarówno młodszych, jak i starszych; drugim pan Teddy Lloyd, nauczyciel rysunków starszych dziewcząt. Byli to jedyni w szkole mężczyźni. Obydwaj podkochiwali się w pannie Brodie, którą uważali za jedyną w swoim otoczeniu godną zainteresowania obiekt, i mimo że nie zdawali sobie z tego sprawy, zaczęli już rywalizować o jej względy. Wtedy jednak panna Brodie nie dostrzegała w nich jeszcze mężczyzn; widziała w nich jedynie swoich popleczników i okazywała im wyniosłą wdzięczność. I dopiero dziewczęta panny Brodie, znacznie wcześniej niż ona sama, a tym bardziej niż obydwaj panowie, odkryły, że pan Lowther i pan Lloyd — każdy przekonany, iż nie ma rywala — starają się wypaść jak najlepiej w jej oczach.

Dla dziewcząt panny Brodie Gordon Lowther i Teddy Lloyd niczym się właściwie nie różnili, dopóki przy bliższym poznaniu nie stwierdziły, że każdy jest inny. Obaj mieli rude włosy, ale Teddy Lloyd, nauczyciel rysunków, był o wiele lepiej zbudowany, miał regularniejsze rysy i był bardziej wyrobiony. Mówiono o nim, że jest pół-Walijczykiem i pół-Anglikiem. Mówił zachrypniętym głosem, jakby miał ustawnie bronchit. Złoty lok opadał mu na czoło i oczy. A najwspanialsze ze wszystkiego było to, że miał tylko jedną rękę, prawą, tę, którą malował. Zamiast drugiej zaś pusty rękaw wetknięty do kieszeni. Wartość rękawa stracił pan Lloyd podczas wojny.

Klasa panny Brodie tylko raz miała okazję przyjrzeć mu się z bliska, i to w półmroku, bo żaluzje w pracowni plastycznej były opuszczone do wyświetlania przezroczy. Dziewczęta zostały doprowadzone w szyku marszowym przez pannę Brodie, która zamierzała przysiąc na jednej z ławek, ale nauczyciel rysunków przyniósł jej krzesło w swojej jedynej ręce i podał w szczególny sposób, z lekkim ugięciem kolan, jak lokaj. Panna Brodie usadowiła się z godnością, niby Britannia, z nogami rozchylonymi pod luźną brązową spódnicą, która kończyła się dobrze poniżej kolan. Pan Lloyd pokazywał swoje przezrocza z wystawy sztuki włoskiej w Londynie. Miał pałeczkę, którą przy akompaniamencie ochryplego głosu wodził wzdłuż konturów postaci. Nie objaśniał, co obraz przedstawia, prowadził tylko wskazówkę wzdłuż każdej krzywizny i linii, przerywając ją tam, gdzie przerwał ją artysta, powiedzmy, w zgięciu łokcia — i podejmując w tym samym miejscu, gdzie on ją podjął — na krawędzi chmury czy na oparciu krzesła. Panie z obrazu *Wiosna*, w swoich pozach siatkarek, kosztowały pana Lloyd'a wiele pracy. Starannie obrysowywał ich pośladki odznaczające się pod tkaniną. Za trzecim razem, kiedy to zrobił, pierwszym rzędem dziewcząt wstrząsnął zbiorowy dreszcz chichotu, który udzielił się dalszym rzędom. Dziewczęta, usiłując opanować drgawki, mocno zaciskały usta, ale im mocniej je zaciskały, tym gwałtowniej powstrzymywany



śmiech eksplodował przez nos. Pan Lloyd rozejrzał się dookoła z pełnym oburzenia zniecierpliwieniem.

— Nie ulega wątpliwości — odezwała się panna Brodie — że te dziewczęta pochodzą z domów bez żadnych tradycji kulturalnych. No cóż, jesteśmy wśród barbarzyńców.

Dziewczęta, którym bardzo zależało, żeby mieć przeszłość kulturalną i bezplciową, uspokoiły się natychmiast, speszzone tą uwagą. Ale w tej samej chwili pan Lloyd podjął demonstrację artystycznych form przerwana na opiętej materią wstydlivej części ciała jednej z dam Boticellego i Sandy udała atak kaszlu, co powtórzyło kilka siedzących za nią dziewcząt. Inne zaczęły gwałtownie szukać czegoś pod ławkami. Jedna czy dwie, wsparte o siebie, chichotały na oczach wszystkich, bezradnie zasłaniając rękami usta.

— Zdziwiona jestem twoim zachowaniem, Sandy — powiedziała panna Brodie. — Myślałam, że ty reprezentujesz zdrowy ferment w tej gromadzie.

Wśród paroksyzmów kaszlu Sandy podniosła głowę z obłudnym błyskiem w oku. Ale panna Brodie zdążyła się już zająć Mary Macgregor, którą miała najbliżej. Mary oczywiście zaraziła się śmiechem od innych dziewcząt, była bowiem zbyt tępa na to, żeby mieć jakieś własne odczucie seksu, i gdyby nie reszta klasy, lekcja pana Lloyd'a nie wywarłaby na niej żadnego wrażenia. Ale teraz Mary chichotała zupełnie otwarcie, jak zepsute dziecko z niekulturalnej rodziny. Panna Brodie złapała ją za rękę, poderwała z miejsca i wypchnęła za drzwi, które za nią zatrzasnęła, po czym wróciła z miną kogoś, kto rozwiązał cały problem. I rzeczywiście tak było, ponieważ jej gwałtowna akcja uspokoiła dziewczęta, stwarzając przynajmniej pozory oficjalnego potępienia prowodyra, co praktycznie uwalniało je od wszelkiej odpowiedzialności.

Panna Brodie wkroczyła tym bardziej w porę, że pan Lloyd przeszedł teraz do demonstrowania Madonny z Dzieciątkiem, a przecież żadna nie chciałaby chichotać w czasie, gdy wiódł swoją pałeczką wzdłuż konturów tego świę-

tego obiektu. Właściwie dziewczęta były nawet zaskoczone, że zachrypnięty głos pana Lloyd'a w najmniejszym choćby stopniu nie zmienił tonu, tylko po prostu informował, co zdziałał pędzel malarza, a w jego metodycznym powtarzaniu rysunku całej Madonny i Dzieciątka było coś wyzywającego. Sandy pochwyliła jego spojrzenie skierowane w stronę panny Brodie, jak gdyby oczekiwał jej aprobaty dla swojej artystycznej postawy, i widziała, jak panna Brodie odpowiada mu pełnym wyższości i zrozumienia uśmiechem bogini, przeznaczonym dla boga królującego gdzieś pośród górskich szczytów.

Wkrótce potem Monika Douglas, ta, która później zasłynęła jako dobra matematyczka i złoźnica, oświadczyła, że widziała, jak pan Lloyd całował pannę Brodie. Podała tę wiadomość pięciu pozostałym dziewczętom ze stadka panny Brodie w sposób bardzo zdecydowany. Informacja została przyjęta z pełnym podniecenia niedowierzaniem.

— Kiedy?

— Gdzie?

— W pracowni plastycznej wczoraj po lekcjach.

— A coś ty tam robiła? — zapytała Sandy, która wzięła na siebie rolę prowadzącej śledztwo.

— Poszłam po nowy szkicownik.

— Po co? Przecież nie skończyłaś jeszcze starego.

— Owszem, skończyłam — odparła Monika.

— A kiedy skończył ci się ten stary szkicownik?

— W sobotę po południu, jak wyście grały w golfa z panną Brodie.

Rzeczywiście, w ubiegłą sobotę, w czasie kiedy Jenny i Sandy zrobiły z panną Brodie dziewięć dołków, reszta dziewcząt snuła się po terenach golfowych Braid Hills ze szkicownikami.

— Owszem, Monika skończyła swój szkicownik. Zrobiła pięć różnych ujęć Tee Woods — potwierdziła Rose Stanley.

— W jakiej części pracowni stali? — zapytała Sandy.

— Na końcu — odparła Monika. — Widziałam, jak ją



obejmował wół i całował. Odskoczyli od siebie, jak otworzyłam drzwi.

— Którą ręką ją obejmował? — rzuciła szybko Sandy.

— Prawą oczywiście. Przecież lewej nie ma.

— Czy zobaczyłaś ich będąc w środku pracowni, czy na korytarzu?

— Wszystko jedno, czy w środku, czy na korytarzu.

Mówię ci, że ich widziałam.

— A oni co powiedzieli? — spytała Jenny.

— Oni mnie nie widzieli. Bo ja zaraz uciekłam.

— Czy to był długi, namiętny pocałunek? — indagowała Sandy, a Jenny podeszła bliżej, żeby dobrze usłyszeć odpowiedź.

Monika wzniosła oczy do góry, jakby coś obliczała w pamięci, a kiedy wynik był gotów, odparła:

— Tak.

— A skąd możesz wiedzieć, jak nawet nie poczekałaś, żeby się przekonać?

— Wiem — odparła Monika, którą to już zaczynało złościć — na podstawie tego kawałka, który widziałam. To był kawałek takiego długiego, namiętnego pocałunku, mogłam się zorientować po tym, jak ją obejmował, i...

— Ja w to wszystko nie wierzę — powiedziała Sandy piskliwie, ponieważ była bardzo podniecona i eliminując wszelkie wątpliwości, za wszelką cenę usiłowała dowieść, że Monika mówi prawdę. — Musiało ci się przyśnić.

Monika uszczypnęła Sandy w ramię, boleśnie wykręcając jej skórę. Sandy wrzasnęła. Monika zrobiła się bardzo czerwona i rzuciła teczkę z książkami w dziewczynki, które stały jej na drodze, tak że musiały się odsunąć.

— Wpadła w szal — powiedziała Eunice Gardiner odskakując.

— Ja nie wierzę w to, co ona gada — powtórzyła Sandy, rozpaczliwie usiłując wyobrazić sobie scenę w pracowni plastycznej i jednocześnie sprowokować rzeczową Monikę do opisanie jej z należyтым uczuciem.

— Ja tam wierzę — oświadczyła Rose. — Pan Lloyd jest artystą, a panna Brodie też ma artystyczne usposobienie.

Jenny wtrąciła:

— A nie widzieli, jak się drzwi otwierają?

— Owszem — odparła Monika. — Odskoczyli od siebie, jak otworzyłam drzwi.

— A skąd wiesz, że cię nie widzieli? — zapytała Sandy.

— Uciekłam, zanim zdążyli się odwrócić. Stali w drugim końcu pracowni koło tej zasłony z martwą naturą. — Monika stanęła w drzwiach klasy i zademonstrowała swój szybki odwrót. Ale dla Sandy było to niezadowolające z dramatycznego punktu widzenia. Wyszła więc z klasy, otworzyła drzwi, zajrzała do środka, zrobiła zaskoczona minę, wydała zduszony okrzyk i błyskawicznie uciekła. Była wyraźnie zadowolona z odegranej przez siebie sceny, a jej koleżanki wpadły w taki zachwyt, że specjalnie dla nich powtórzyła cały epizod. Za czwartym razem, kiedy osiągnęła szczyty kunsztu aktorskiego, nadeszła właśnie panna Brodie i stanęła za jej plecami.

— Co ty robisz, Sandy? — spytała.

— Nic, bawię się — odparła Sandy fotografując tę nową pannę Brodie swoimi małymi oczkami.

Problem, czy rzeczywiście panna Brodie mogła być całowana i sama całować, zaprzętał dziewczęta aż do Bożego Narodzenia. Bowiem historia jej wojennych przeżyć ukazała im ją jako osobę bardzo uduchowioną, tym bardziej że ta młodsza panna Brodie należała do czasów prehistorycznych — sprzed ich urodzenia. Kiedy więc jesienią siedziały pod więzmem, opowieść panny Brodie: „Wiedziecie, jak byłam dziewczynką...”, wydała im się znacznie mniej realna, a mimo wszystko bardziej wiarygodna niż odkrycie Moniki Douglas. Stąd panny Brodie postanowiło w każdym razie zachować ten incydent w tajemnicy, gdyby bowiem dowiedziały się o nim reszta klasy, wiadomość z pewnością rozeszłaby się dalej i w rezultacie mogłaby dotrzeć do uszu osoby niepowołanej i stać się przyczyną grubych nieprzyjemności dla Moniki Douglas.

Ale w pannie Brodie rzeczywiście zaszła zmiana. Pole-



gała ona nie tylko na tym, że Sandy i Jenny, przetwarzając nauczycielkę w swojej wyobraźni, starały się patrzeć na nią jak na kogoś, kto ma po prostu na imię „Jean”. Zmiana zaszła w niej samej. Nosiła teraz nowsze sukienki, a do nich połyskliwy naszyjnik z prawdziwych bursztynów, które potarte o materiał i przytknięte do papierka zdradzały właściwości magnetyczne.

Zmianę, jaka zaszła w pannie Brodie, najłatwiej było uchwycić przez porównanie jej z innymi nauczycielkami młodszych klas. Kiedy się najpierw spojrzało na nie, a potem na nią, prędzej można było sobie wyobrazić, że się całowała.

Jenny i Sandy zastanawiały się, czy tego dnia w pracowni pan Lloyd i panna Brodie posunęli się dalej i czy ogarnięci pożądaniem potracili głowy. Nie spuszczały oka z jej brzucha, szukając w nim oznak pęcznienia. Czasami w przypływie nudy dochodziły do wniosku, że zaczyna pęcznieć. Ale w dni ciekawe brzuch panny Brodie wydawał im się zupełnie płaski i w takich chwilach skłonne były się nawet zgodzić, że Monika kłamała.

W tych czasach inne nauczycielki młodszych klas mówiły pannie Brodie „dzień dobry” w sposób więcej niż edynburski, to znaczy łaskawie i nigdy nie pomijając ku temu okazji, ale Sandy, która właśnie skończyła jedenaście lat, dostrzegała w ich tonie wyraźną pogardę. Panna Brodie odpowiadała im z akcentem bardziej angielskim, niż było to w jej dumnym zwyczaju. „Dzień dobry” — mówiła na korytarzu, miażdżąc ich pogardę swoją dumą i odwracając ku nim głowę nie więcej niż na obraźliwe pół cala. Idąc trzymała głowę uniesioną wysoko, wysoko do góry, ale często po wejściu do swojej klasy opierała się na chwilę z ulgą o drzwi. W czasie lekcji śpiewu czy szycia — zamiast siedzieć w pokoju nauczycielskim — panna Brodie towarzyszyła swoim wychowankom.

Dwóch nauczycielek szycia, trzymających się z dala od reszty grona, nie traktowano zbyt poważnie. Były to dwie młodsze siostry pewnej zmarłej już wówczas trzeciej, po której śmierci nie miał kto pokierować ich życiem. Nazy-

wały się Ellen i Alison Kerr; z rozwianym włosom, wysuszoną szaroniebieską cerą i ptasimi oczami, panny Kerr tak były zawsze roztrzepane, że nie potrafiły niczego nauczyć; zamiast wyjaśniać dziewczynkom, o co chodzi, brały od każdej robótkę i prawie całą wykonywały same. W najgorszym wypadku pręły to, co zostało zrobione, i robiły od nowa mówiąc przy tym: „Oj, niedobrze” albo „To nawet nie przypomina ściegu za igłą”. Panny Kerr nie próbowały jak dotąd osądzać panny Brodie, z natury swojej przekonane głęboko, że ich koleżanki po fachu nie podlegają krytyce. Wobec tego lekcje szycia stanowiły dla wszystkich chwile odprężenia i panna Brodie, w okresie przed Bożym Narodzeniem, co tydzień wykorzystywała je na czytanie swojej klasie *Dziwnych losów Jane Eyre*. Dziewczęta słuchając kłuły się w palce tak mocno, jak tylko mogły wytrzymać, i patrzyły, jak na robótkę wykwitają zabawne plamki krwi, z których można było nawet układać desenie.

Z lekcjami śpiewu sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. W ciągu paru tygodni po odkryciu dokonany przez Monikę w pracowni plastycznej stało się jasne, że przed, w czasie i po lekcjach śpiewu panna Brodie zdradza szczególne podniecenie. W te dni wkładała też zawsze swoje najnowsze rzeczy.

Sandy zapytała Monikę Douglas:

— Czy jesteś pewna, że to pan Lloyd ją całował? Dasz głowę, że to nie był pan Lowther?

— To był pan Lloyd — odparła Monika — i to się działo w pracowni plastycznej, a nie muzycznej. Co by robił pan Lowther w pracowni plastycznej?

— Oni są bardzo podobni, pan Lloyd i pan Lowther — oświadczyła Sandy.

Po twarzy Moniki widać było, jak wzbiera w niej złość.

— To był pan Lloyd i obejmował ją swoją jedyną ręką — powtórzyła. — Widziałam ich. Żałuję, że wam w ogóle o tym powiedziałam. Tylko Rose mi wierzy.

Rose Stanley wierzyła jej rzeczywiście, ale dlatego, że było jej to zupełnie obojętne. Rose bowiem najmniej spo-



gała ona nie tylko na tym, że Sandy i Jenny, przetwarzając nauczycielkę w swojej wyobraźni, starały się patrzeć na nią jak na kogoś, kto ma po prostu na imię „Jean”. Zmiana zaszła w niej samej. Nosiła teraz nowsze sukienki, a do nich połyskliwy naszyjnik z prawdziwych bursztynów, które potarte o materiał i przytknięte do papierka zdradzały właściwości magnetyczne.

Zmianę, jaka zaszła w pannie Brodie, najłatwiej było uchwycić przez porównanie jej z innymi nauczycielkami młodszych klas. Kiedy się najpierw spojrzało na nie, a potem na nią, prędzej można było sobie wyobrazić, że się całowała.

Jenny i Sandy zastanawiały się, czy tego dnia w pracowni pan Lloyd i panna Brodie posunęli się dalej i czy ogarnięci pożądaniem potracili głowy. Nie spuszczały oka z jej brzucha, szukając w nim oznak pęcznienia. Czasami w przypływie nudy dochodziły do wniosku, że zaczyna pęcznieć. Ale w dni ciekawe brzuch panny Brodie wydawał im się zupełnie płaski i w takich chwilach skłonne były się nawet zgodzić, że Monika kłamała.

W tych czasach inne nauczycielki młodszych klas mówiły pannie Brodie „dzień dobry” w sposób więcej niż edynburski, to znaczy łaskawie i nigdy nie pomijając ku temu okazji, ale Sandy, która właśnie skończyła jedenaście lat, dostrzegła w ich tonie wyraźną pogardę. Panna Brodie odpowiadała im z akcentem bardziej angielskim, niż było to w jej dumnym zwyczaju. „Dzień dobry” — mówiła na korytarzu, miażdżąc ich pogardę swoją dumą i odwracając ku nim głowę nie więcej niż na obraźliwe pół cala. Idąc trzymała głowę uniesioną wysoko, wysoko do góry, ale często po wejściu do swojej klasy opierała się na chwilę z ulgą o drzwi. W czasie lekcji śpiewu czy szycia — zamiast siedzieć w pokoju nauczycielskim — panna Brodie towarzyszyła swoim wychowankom.

Dwóch nauczycielek szycia, trzymających się z dala od reszty grona, nie traktowano zbyt poważnie. Były to dwie młodsze siostry pewnej zmarłej już wówczas trzeciej, po której śmierci nie miał kto pokierować ich życiem. Nazy-

wały się Ellen i Alison Kerr; z rozwianym włosom, wysuszoną szaroniebieską cerą i ptasimi oczami, panny Kerr tak były zawsze roztrzepane, że nie potrafiły niczego nauczyć; zamiast wyjaśniać dziewczynkom, o co chodzi, brały od każdej robótkę i prawie całą wykonywały same. W najgorszym wypadku pręły to, co zostało zrobione, i robiły od nowa mówiąc przy tym: „Oj, niedobrze” albo „To nawet nie przypomina ściegu za igłą”. Panny Kerr nie próbowały jak dotąd osądzać panny Brodie, z natury swojej przekonane głęboko, że ich koleżanki po fachu nie podlegają krytyce. Wobec tego lekcje szycia stanowiły dla wszystkich chwile odprężenia i panna Brodie, w okresie przed Bożym Narodzeniem, co tydzień wykorzystywała je na czytanie swojej klasie *Dziwnych losów Jane Eyre*. Dziewczęta słuchając kłuły się w palce tak mocno, jak tylko mogły wytrzymać, i patrzyły, jak na robótkę wykwitają zabawne plamki krwi, z których można było nawet układać desenie.

Z lekcjami śpiewu sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. W ciągu paru tygodni po odkryciu dokonany przez Monikę w pracowni plastycznej stało się jasne, że przed, w czasie i po lekcjach śpiewu panna Brodie zdradza szczególne podniecenie. W te dni wkładała też zawsze swoje najnowsze rzeczy.

Sandy zapytała Monikę Douglas:

— Czy jesteś pewna, że to pan Lloyd ją całował? Dasz głowę, że to nie był pan Lowther?

— To był pan Lloyd — odparła Monika — i to się działo w pracowni plastycznej, a nie muzycznej. Co by robił pan Lowther w pracowni plastycznej?

— Oni są bardzo podobni, pan Lloyd i pan Lowther — oświadczyła Sandy.

Po twarży Moniki widać było, jak wzbiera w niej złość.

— To był pan Lloyd i obejmował ją swoją jedyną ręką — powtórzyła. — Widziałam ich. Żałuję, że wam w ogóle o tym powiedziałam. Tylko Rose mi wierzy.

Rose Stanley wierzyła jej rzeczywiście, ale dlatego, że było jej to zupełnie obojętne. Rose bowiem najmniej spo-



śródm całego stadka panny Brodie interesowała się jej sercowymi sprawami czy też sprawami seksu w ogóle. I tak miało być zawsze. Później, kiedy Rose zastępnęła z seksu, jej szczególna atrakcyjność polegała na tym, że problemy płci zupełnie dla niej nie istniały, nigdy się nad nimi nawet nie zastanawiała. Jak panna Brodie miała w przyszłości powiedzieć, Rose była obdarzona instynktem.

— Tylko Rose mi wierzy — oświadczyła Monika Douglas.

Kiedy odwiedziła Sandy w klasztorze, pod koniec lat pięćdziesiątych, powiedziała:

— Ja naprawdę widziałam, jak Teddy Lloyd całował wtedy pannę Brodie w pracowni plastycznej.

— Wiem, że widziałas — odparła Sandy.

Wiedziała o tym, jeszcze zanim zwierzyła jej się z tego sama panna Brodie, gdy pewnego dnia po zakończeniu wojny siedziały w hotelu Braid Hills jedząc kanapki i pijąc herbatę, na co w domu panna Brodie nie mogłaby sobie przy systemie kartkowym pozwolić. Panna Brodie siedziała, pomarszczona i zdradzona, w swoich nieśmiertelnych ciemnych piżmowcach. Została przeniesiona na emeryturę przed czasem.

— Moja pełnia już się skończyła — powiedziała.

— Ale była dobra — odparła Sandy.

Przez szerokie okna patrzyły na małą rzeczkę Braid Burn wijącą się pośród pól i na wzgórze gdzieś za nią w oddali, tak surowe w swej odwieczności, że wojna nie im nie mogła zrobić.

— Jak wiesz, Teddy Lloyd bardzo się we mnie kochał — powiedziała panna Brodie — a ja w nim. To była wielka miłość. Pewnego dnia w pracowni plastycznej pocałował mnie. Ale nigdy nie został moim kochankiem, nawet po tym, jak wyjechałaś z Edynburga, kiedy pokusa była najsilniejsza.

Sandy patrzyła na wzgórze swoimi małymi oczkami.

— Odrzuciłam go — podjęła panna Brodie. — Był żonatym mężczyzną. Odrzuciłam wielką miłość mojej pełni życia. A tak wiele nas łączyło, oboje mieliśmy artystyczne natury.

Wyobrażała sobie, że jej pełnia potrwa do sześćdziesiątki. Ale ten rok, pierwszy po wojnie, był pięćdziesiątym szóstym i, jak się okazało, ostatnim rokiem życia panny Brodie. Wyglądała staro na swoje lata, cierpiała na nowotwór. Był to jej — i w pewnym sensie również Sandy — ostatni rok wśród żywych.

Panna Brodie, pogiębiona, powiedziała:

— Późną jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku... Sandy, słuchasz?

Sandy odwróciła wzrok od wzgórz.

Późną jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku panny Brodie nie było w szkole przez dwa tygodnie. Nie ulegało wątpliwości, że jest chora. Jej dziewczęta odwiedziły ją po lekcjach z kwiatkami, ale nie zastały nikogo. Nazajutrz w szkole dowiedziały się, że pojechała na wieś do przyjaciółki, gdzie ma zamiar pozostać, aż wydobrzeje.

Tymczasem klasa panny Brodie została podzielona i dziewczęta poupychano po klasach jej koleżanek. Stadko panny Brodie, trzymające się razem, przypadło kościastej pannie Gnat z Western Isles, która nosiła długą do kolan spódnice z materiału przypominającego szary koc; nie była ona elegancka nawet wtedy, kiedy obowiązywała długość do kolan, i Rose Stanley twierdziła, że została tak uszyta ze względów oszczędnościowych. Głowę panna Gnat miała bardzo dużą i też kościstą. Zamiast piersi niewielką wypukłość, spłaszczoną przez stanik, a sweter w smutnym kolorze ciemnej zieleni. Ani trochę nie przejmowała się dziewczętami panny Brodie, oszołomionymi nagłym zaostreniem kursu i speszonymi jej straszną surowością i bezwzględny egzekwowaniem ciszy na lekcjach.

— O Boże — powiedziała któregoś dnia na głos Rose w czasie pracy piśmiennej z angielskiego. — Na śmierć zapomniałam, jak się pisze „przynależność”. Dwa razy „rz” czy...

— Sto linijek z *Marmion* — rzuciła pod jej adresem panna Gnat.



Pod koniec pierwszego tygodnia czarna księga, w której notowano wszystkie złe oceny, znajdujące wyraz w podsumowaniu okresu, usiana była gęsto nazwiskami dziewcząt panny Brodie. Znajomość tych nazwisk potrzebna była pannie Gnat wyłącznie do tego; poza tym nie zadawała sobie trudu, żeby je zapamiętać. Mówiła po prostu „ty”. Dziewczęta tak były tym wszystkim oszołomione, że zupełnie nie zauważyły, jak im przepadła środowa lekcja śpiewu.

We czwartek wczesnym popołudniem zapędzono je do sali robót. Nauczycielki szycia, panny Alison i Ellen Kerr, które w obecności panny Gnat robiły wrażenie spłoszonych, zaczęły skwapliwie demonstrować dziewczętom posługiwanie się maszynami do szycia. Sunące w górę i w dół czółenka maszyn prowokowały zwykle do śmiechu Jenny i Sandy, w których wszystko wówczas budziło skrajzenia seksualne. Ale nieobecność panny Brodie i obecność panny Gnat zdecydowanie odbierała zjawiskom wszelkie seksualne podteksty, a podenerwowanie sióstr Kerr pogłębiało jedynie nastrój ponurego realizmu.

Panna Gnat musiała widocznie chodzić do tego samego kościoła co siostry Kerr, bo haftując serwetkę na tacę rzuciła od czasu do czasu pod ich adresem różne uwagi.

— Mój brat — mówiła — mój brat twierdzi...

Jej brat był pastorem w tej parafii i z tego powodu panny Alison i Ellen dziś szczególnie przykładały się do pracy, knocąc w rezultacie gorzej niż zwykle.

— Mój brat wstaje o wpół do szóstej rano... Mój brat zorganizował...

Sandy myślała właśnie o następnym odcinku *Dziwnych losów Jane Eyre*, których lekturą panna Brodie urozmaicała im zwykle tę godzinę. Sandy zerwała już z Alaniem Breckiem dla pana Rochesterera, z którym siedziała właśnie w ogrodzie.

„Pani się mnie boi, panno Sandy.”

„Pan się wyraża jak sfinks, sir, ale ja się pana nie boję.”

„Pani jest tak poważna i milcząca, panno Sandy. Czy pani już odchodzi?”

„Wybiła dziewiąta, sir.”

Słowa panny Gnat przerwały scenę ogrodową:

— W tym tygodniu pana Lowthera nie było w szkole.

— Tak słyszałam — odparła panna Alison.

— I ma go nie być jeszcze co najmniej przez tydzień.

— Czyżby był chory?

— Najprawdopodobniej, niestety — rzekła panna Gnat.

— I panna Brodie coś niedomaga — dodała panna Ellen.

— Tak — potwierdziła panna Gnat — jej też ma nie być jeszcze przez tydzień.

— A co się stało?

— Trudno powiedzieć. — Panna Gnat wpięła igłę w robótkę, po czym ją wyciągnęła, a następnie spojrzała na siostry Kerr. — Być może panna Brodie cierpi na tę samą dolegliwość co pan Lowther.

Sandy jej twarz wydała się twarzą gospodyni z *Jane Eyre*, która przyglądała jej się uważnie i znacząco, kiedy Sandy wróciła późno z ogrodu, gdzie siedziała z panem Rochesterem.

— A może panna Brodie ma romans z panem Lowtherem — powiedziała do Jenny tylko po to, żeby rozwiać wreszcie nastrój ponurej bezpłciowości, jaki je otaczał.

— Ale to przecież pan Lloyd ją całował. Ona musi się kochać w panu Lloydzie, inaczej nie pozwoliłaby mu się całować.

— Może ona chce to przerzucić na pana Lowthera. Pan Lowther nie jest żonaty.

Był to ich wspólny wymysł stanowiący wyraz buntu przeciwko pannie Gnat i jej okropnemu bratu i tak właśnie obie to rozumiały. Ale Sandy, która zapamiętała minę, z jaką panna Gnat mówiła: „Być może panna Brodie cierpi na tę samą dolegliwość co pan Lowther”, zaczęła się nagle zastanawiać, czy to przypuszczenie nie jest przypadkiem uzasadnione. I z tych względów była bardziej powściągliwa, jeśli chodzi o szczegóły domniemanego romansu, niż Jenny. Jenny szepnęła:



— Kładą się razem do łóżka. A potem on gasi światło. I dotykają się dużymi palcami nóg. I wtedy panna Brodie... panna Brodie... — Jenny zaczęła chichotać.

— Panna Brodie ziewa — dokończyła Sandy, aby sprowadzić rozmowę na przyzwoite tory, teraz, kiedy podejrzewała, że to wszystko jest prawdą.

— Nie, panna Brodie mówi „kochanie”. Mówi...

— Cicho — szepnęła Sandy. — Idzie Eunice.

Eunice Gardiner podeszła do stołu, przy którym siedziały Jenny i Sandy, złapała nożyczki i odeszła. Ostatnio Eunice zrobiła się bardzo religijna i wszelkie rozmowy na tematy seksualne były przy niej wykluczone. Przestała skakać i fikać. Nie trwało to długo, ale w tym czasie Eunice była nieznośna i nie można jej było ufać. Kiedy już oddaliła się na dobre, Jenny podjęła:

— Pan Lowther ma krótsze nogi niż panna Brodie, więc ona chyba obejmuje jego nogi swoimi i...

— A gdzie pan Lowther mieszka, nie wiesz? — spytała Sandy.

— W Cramond. Ma duży dom i gospodynię.

Tamtego roku zaraz po wojnie, kiedy Sandy siedząc z panną Brodie przy oknie w hotelu Braid Hills odwróciła wzrok od wzgórz na znak, że słucha, panna Brodie powiedziała:

— Odrzuciłam Teddy Lloyda. Ale zdecydowałam się na romans. To było jedyne lekarstwo. Moja miłość do Teddy'ego była obsesyjna, to była miłość pełni mojego życia. Ale jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku nawiązałam romans z Gordonem Lowtherem. Gordon był kawalerem i było to stosowniejsze. Taka jest prawda i nie mam nic więcej do powiedzenia. Słuchasz, Sandy?

— Tak, słucham.

— Robisz wrażenie, moja droga, jakbyś myślała o czym innym. No więc tak jak powiedziałam: to wszystko.

Sandy myślała o czym innym. Myślała o tym, że to jednak nie wszystko.

— Oczywiście, że podejrzewano nas o romans. Może

nawet wyście, dziewczęta, o tym wiedziały. Ty, Sandy, chyba się domyślałaś... ale oczywiście nikt nie mógł udowodnić, co łączyło Gordona Lowthera ze mną. I nigdy tego nie udowodniono. Zresztą donos dotyczył całkiem innych spraw. Chciałabym naprawdę wiedzieć, kto mnie zdradził. To jest wprost nie do wiary, żeby to mogła być któraś z moich dziewcząt. Zastanawiam się czasem, czy to nie biedna Mary. Może powinnam była być dla niej miłsza. To musiała być tragiczna historia z tą Mary; wyobrażam sobie ten pożar i tę biedaczkę. Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć, żeby ona to zrobiła.

— Ona zupełnie straciła kontakt ze szkołą po wyjeździe — powiedziała Sandy.

— Tak myślę, że może to Rose mnie zdradziła?

Ta skamłająca nuta w jej głosie — „...zdradziła mnie, zdradziła...” — nudziła Sandy i działała na nią przygnębiająco. Już siedem lat minęło, myślała, jak zdradziłam tę męczącą kobietę. Co ona w ogóle rozumie przez słowo „zdradzić”? Wpatrywała się we wzgórz, jakby chciała w nich dojrzeć tę pierwszą pannę Brodie, której nie można było zdradzić, obojętną na krytykę jak skała.

Po dwutygodniowej nieobecności panna Brodie wróciła, aby oznajmić swojej klasie, że miała udany i zasłużony wypoczynek. Lekcje śpiewu potoczyły się normalnym trybem i pan Lowther promieniał na widok panny Brodie dumnie wprowadzającej do pracowni muzycznej swoje dziewczęta z głowami wysoko, wysoko do góry. Panna Brodie akompaniowała teraz, prezentując się bardzo dobrze przy fortepianie i czasami z melancholią w oczach biorąc swoim silnym głosem partię drugiego sopranu w *Jak słodki jest słodki los pasterza* czy w innych wokalnych numerach przygotowywanych na uroczystość zakończenia roku szkolnego. Pan Lowther, krótkonogi, nieśmiały i złotowłosy, nie bawił się już kędziorami Jenny. Nagie gałęzie ocierały się o szyby, a dla Sandy nie ulegało już wątpliwości, że nauczyciel śpiewu kocha się w pannie



Brodie, a panna Brodie w nauczycielu rysunków. Rose Stanley nie ujawniła jeszcze wtedy swoich możliwości demaskatorskich w stosunku do uczuć panny Brodie dla jednorekiego Teddy Lloyda i panna Brodie nie zdradzona przeżywała swoją pełnię.

Trudno było wyobrazić sobie pannę Brodie śpiącą z panem Lowtherem, tak jak trudno było wyobrazić ją sobie w jakimkolwiek erotycznym kontekście, a jednak nie sposób było jej o to nie podejrzewać.

Na wiosnę panna Mackay, dyrektorka, prosiła dziewczęta do swojego gabinetu na herbatę najpierw małymi grupkami, a potem pojedynczo. W ten sposób dowiadywała się o ich dalsze plany: czy w wyższych klasach zamierzają obrać kurs nowożytny, czy będą się ubiegały o przyjęcie na kierunek klasyczny.

Panna Brodie już im zdążyła podpowiedzieć: „Nie mam nic przeciwko wykształceniu nowożytnemu. Nowożytne czy klasyczne — wszystko jedno — i to, i to się w życiu przyda. Musicie same o tym decydować. Nie każdego stać na wykształcenie klasyczne. Nie możecie się niczym sugerować”, tak że dziewczęta nie miały cienia wątpliwości, iż kurs nowożytny traktuje pogardliwie.

Z całego stadka panny Brodie wyłamała się jedna Eunice Gardiner, która poszła na kurs nowożytny, ponieważ rodzice chcieli, żeby nauczyła się gospodarstwa domowego, a jej samej zależało na rozszerzonym programie gimnastyki i sportu. Eunice, która przygotowywała się żarliwie do confirmacji, była jak na gust panny Brodie trochę za religijna. Odmawiała teraz fikania koziołków poza salą gimnastyczną, skrapiała chusteczkę do nosa wodą lawendową, nie chciała się na próbę umalować szminką ciotki Rose Stanley, przejawiała podejrzenie zdrowe zainteresowanie międzynarodowym sportem i kiedy panna Brodie pognęła swoje stadko do Empire Theatre, dając im jedyną okazję podziwiania Pawłowej, Eunice wymówiła się zebraniem „naszego towarzystwa”.

— Waszego to znaczy czyjego? — spytała panna Brodie, która zawsze łapała za słówka, kiedy weszła jakiś wykręt.

— To się odbywa w domu parafialnym, proszę pani.

— Aha, więc chodzi ci o zebranie towarzyskie. No, to rzeczywiście nie możesz go opuścić; my też idziemy na zebranie towarzyskie z udziałem wielkiej Anny Pawłowej. To kobieta z prawdziwym powołaniem — kiedy ukazuje się na scenie, inni tancerze wyglądają jak słonie. Tak, Eunice, idź koniecznie na to swoje zebranie towarzyskie. My zobaczymy, jak Pawłowa tańczy śmierć łabędzia, to jest naprawdę niezapomniana chwila.

Przez cały ten okres panna Brodie usiłowała skłonić Eunice przynajmniej do podjęcia pionierskiej akcji misyjnej w jakimś zakazanym i niebezpiecznym zakątku ziemi, nie mogła bowiem pogodzić się z myślą, że któraś z jej dziewcząt mogłaby w przyszłości nie poświęcić się jakiemuś wielkiemu powołaniu. „Skończysz jako działaczka harcerska na przedmieściu w rodzaju Corstorphine” — ostrzegała Eunice, która rzeczywiście po cichu marzyła o takiej karierze i która mieszkała w Corstorphine. Cały ten okres upłynął pod znakiem opowieści o Pawłowej: o jej natchnionych zwyczajach, o jej gwałtownych wybuchach złości i braku tolerancji w stosunku do wszelkiego partactwa.

— Ona krzyczy na zespół — powiedziała panna Brodie — co jest wybaczalne u wielkiej artystki. Mówi biegle po angielsku z uroczym akcentem. A potem wraca do siebie i kontempluje łabędzie, które hoduje na stawie przy domu.

„Sandy — powiedziała Anna Pawłowa — jesteś drugą po mnie natchnioną tancerką. Twój umierający łabędź jest doskonały — to pełne wyczucia końcowe stuknięcie pazura o deski sceny...”

„Wiem o tym” — odparła Sandy (po dłuższym namyśle rezygnując z „no cóż, robię, co mogę”) odpoczywająca za kulisami.

Pawłowa skinęła poważnie głową, obejmując średni plan



wzrokiem tragicznego wygnańca i artysty. „Każdy artysta wie — powiedziała. — Czyż tak nie jest?” — I głosem dramatycznym od wzbierającej w nim hysterii oraz swoim uroczym akcentem dodała: „Nikt nigdy mnie nie rozumiał. Nigdy. Nigdy.”

Sandy zdjęła jedną ze swoich baletek i cisnęła nią od niechcenia w drugi kąt kulis, skąd została ona z całym szacunkiem przyniesiona przez jednego z członków zespołu. Wstrzymując się jeszcze ze zdjęciem drugiego pantofla, powiedziała do Pawłowej: „Ale ja jestem pewna, że panią rozumiem.”

„To prawda! — wykrzyknęła Pawłowa ściskając rękę Sandy. — Ponieważ ty jesteś prawdziwą artystką i dalej poniesiesz pochodnię sztuki.”

Panna Brodie powiedziała:

— Pawłowa kontempluje te łabędzie, żeby udoskonalić swój taniec łabędzia, ona je studiuje. To jest prawdziwe powołanie. Musicie wszystkie wyrosnąć na kobiety z jakimś powołaniem, tak jak moim powołaniem jesteście wy.

Na kilka tygodni przed śmiercią, kiedy siedząc w łóżku w klinice dowiedziała się od Moniki Douglas, że Sandy wstąpiła do klasztoru, powiedziała:

— Jaka szkoda. Nie o takim powołaniu myślałam. Czy nie sądzisz, że Sandy chciała mi w ten sposób zrobić na złość? Zaczynam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ona mnie zdradziła.

Dyrektorka zaprosiła Sandy, Jenny i Mary na herbatę tuż przed feriami wielkanocnymi i zadała im zwykłe pytania na temat, co zamierzają robić w szkole średniej i czy wybierają się na kurs klasyczny, czy nowożytny. Mary Macgregor została od razu wykluczona z kursu klasycznego, ponieważ miała za słabe stopnie. Robiła wrażenie przygnębionej.

— Dlaczego tak się upierasz przy kursie klasycznym, Mary? To nie dla ciebie. Czy twoi rodzice nie zdają sobie z tego sprawy?

— Panna Brodie to woli.

— To nie ma nic wspólnego z panną Brodie — oświad-

czyła panna Mackay, sadowiąc lepiej swoje wielkie siedzenie na krześle. — To zależy wyłącznie od twoich stopni i od tego, co myślisz o tym ty i twoi rodzice. A ty masz przede wszystkim za słabe stopnie.

Kiedy Jenny i Sandy zgłosiły się na kurs klasyczny, powiedziała:

— Pewnie dlatego, że panna Brodie to woli. Co wam przyjdzie z łaciny czy greki, jak powychodzicie za mąż albo zaczniecie pracować? Z niemieckiego miałybyście większą pociechę.

Ale dziewczęta obstawały przy swoim wyborze i panna Mackay, wyraziwszy zgodę, zaczęła je w sposób zupełnie otwarty kokietować chwalać pannę Brodie.

— Nie wyobrażam sobie, co byśmy robili bez panny Brodie. Zawsze jest różnica między jej wychowankami, a w ostatnich dwóch latach, powiedziałabym nawet, z a c z n a różnica.

A potem zaczęła z nich wyciągać: panna Brodie zabiera je do teatru, na wystawy, na spacer, do siebie na herbatę, prawda? Jak to ładnie z jej strony.

— A czy panna Brodie płaci za wasze bilety do teatru?

— Czasami — odparła Mary.

— Nie zawsze za wszystkie — dodała Jenny.

— Chodzimy do galerii — uzupełniła Sandy.

— To rzeczywiście bardzo ładnie ze strony panny Brodie. Mam nadzieję, że to docenicie.

— O tak — odparły dziewczęta, solidarne i czujne w obliczu wszystkiego, co mogło się okazać wrogię idei „brodizmu”. Nie uszło to uwagi dyrektorki.

— To wspaniale — powiedziała. — A czy chodzicie z panną Brodie na koncerty? Panna Brodie jest bardzo muzykalna, prawda?

— Tak — odrzekła Mary, wzrokiem prosząc koleżanki o instrukcje.

— W ubiegłym okresie byłyśmy z panną Brodie w operze na *Traviacie* — odpowiedziała Jenny.

— Panna Brodie jest muzykalna, prawda? — powtó-



rzyła panna Mackay, tym razem zwracając się już tylko do Sandy i Jenny.

— Widziałyśmy Pawłową — rzuciła Sandy.

— Czy panna Brodie jest muzykalna? — nalegała panna Mackay.

— Myślę, że panna Brodie bardziej interesuje się sztuką — powiedziała Sandy.

— Ale przecież muzyka jest dziedziną sztuki.

— Miałam na myśli malarstwo i rysunek — wyjaśniła Sandy.

— To bardzo kształcące — oświadczyła panna Mackay. — Czy wy, dziewczęta, uczyście się gry na fortepianie?

Wszystkie odpowiedziały twierdząco.

— U kogo? U pana Lowthera?

Z tym było różnie, ponieważ lekcje pana Lowthera nie były objęte programem, a te trzy dziewczynki uczyły się muzyki prywatnie. Ale teraz, na wzmiankę o panu Lowtherze, nawet ciężko myśląca Mary zaczęła podejrzewać, do czego zmierza panna Mackay.

— O ile wiem, panna Brodie akompaniuje wam podczas lekcji śpiewu. Dlaczego więc uważasz, Sandy, że bardziej interesuje się rysunkiem niż muzyką?

— Tak nam powiedziała. Muzyka to jej zainteresowanie, a sztuka to jej namiętność, powiedziała panna Brodie.

— A jakie są wasze zainteresowania kulturalne? Oczywiście jesteście jeszcze za młode, żeby mieć namiętności.

— Opowiadania, proszę pani — oświadczyła Mary.

— Też panny Brodie?

— Tak — odparła Mary.

— Na jakie tematy?

— Historyczne — powiedziały Jenny i Sandy jednocześnie, ponieważ przewidywały, że kiedyś mogą zostać o to zapytane, i łamały sobie głowę, żeby przygotować odpowiedź zachowującą pozory prawdy.

Panna Mackay, która nakładała właśnie ciastko na talerzyk, znieruchomiała na chwilę i spojrzała na nie; musiała ją zaskoczyć szybkość tej odpowiedzi.

Nie pytając już o nic więcej wygłosiła taką oto znamieną mowę:

— Macie wielkie szczęście, żeście trafiły w ręce panny Brodie. Życzyłabym sobie, żeby wasze prace z arytmetyki były lepsze. Wychowanki panny Brodie zawsze się w ten czy inny sposób wyróżniają. Będziecie musiały solidnie popracować nad zwykłymi, skromnymi przedmiotami, żeby się przygotować do końcowych egzaminów. Panna Brodie znakomicie was przygotowuje do szkoły średniej. Kultura nie może zastąpić rzetelnej wiedzy. Cieszę się, że jesteście takie oddane pannie Brodie. Powinnyście być lojalne raczej w stosunku do szkoły niż w stosunku do poszczególnych osób.

Nie cała ta rozmowa została powtórzona pannie Brodie.

— Powiedziałyśmy pannie Mackay, jak bardzo pani lubi sztukę — powiedziała jednak Sandy.

— Rzeczywiście — przyznała panna Brodie — jakkolwiek „lubi” nie jest tu najlepszym określeniem; malarstwo jest moją namiętnością.

— Właśnie tego słowa użyłam — wyjaśniła Sandy.

Panna Brodie popatrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć i jak zresztą mówiła już dwukrotnie przedtem: „Ty kiedyś, Sandy, przeholujesz.”

— W porównaniu z muzyką — uzupełniła Sandy mrugając swoimi małymi świńskimi oczkami.

Pod koniec ferii wielkanocnych, jakby na ukoronowanie tego roku, upływającego pod znakiem seksu, Jenny idąc kiedyś sama nad rzeką Leith została zaczepiona przez mężczyznę, który obnażał się beztrosko. Mężczyzna powiedział:

— Chodź, zobacz.

— Co? — zapytała Jenny podchodząc bliżej w przekonaniu, że podniósł z ziemi zagubione piskłę czy znalazł jakąś ciekawą roślinę. Stwierdziwszy swoją pomyłkę rzuciła się do ucieczki, mimo że mężczyzna nie próbował jej ani atakować, ani gonić, i wpadła bez tchu do domu,



gdzie pełna współczucia i zgrozy rodzina zaaplikowała jej wśród czułości dobrze osłodzoną herbatę jako lekarstwo na szok. Zawiadomiono policję i trochę później tego samego dnia przyszła wspaniała policjantka, żeby wy badać Jenny na tę okoliczność.

Wydarzenia te kryły w sobie tak ekscytujące możliwości, że wśród dziewcząt wrzało jak w ulu nie tylko do końca ferii wielkanocnych, ale i przez cały ostatni okres. Pierwsze skutki tego wypadku okazały się niepomysłne dla Sandy, która właśnie była o krok od wywalczenia sobie prawa do samotnych spacerów w miejscach tak odosobnionych jak to, gdzie nastąpiło spotkanie Jenny. W dalszym ciągu więc nie pozwalano jej wychodzić samej, ale był to jedynie efekt uboczny całej sprawy. Wszystkie pozostałe miały charakter pozytywny. Dociekania Sandy szły w dwóch kierunkach: przede wszystkim dotyczyły samego mężczyzny i istoty tego, co wystawiał na widok publiczny, a po drugie policjantki.

Temat pierwszy został dość szybko wyczerpany.

— To był koszmarny stwór — oświadczyła Jenny.

— Wstrętny bydlak — dodała Sandy.

Temat policjantki natomiast okazał się niewyczerpany i chociaż Sandy nie widziała jej na oczy, jak zresztą żadnej policjantki (były to początki służby kobiet w policji), porzuciła Alana Brecka, pana Rochester a i wszystkich innych bohaterów książek na cały okres letni dla nieznannej kobiety, która bez reszty zawładnęła jej uczuciami; w ten sposób Sandy podsycala również entuzjazm Jenny.

— Jak ona wyglądała? Czy była w hełmie?

— Nie, w czapce. Miała krótkie, jasne, kręcone włosy, które zwijały jej się pod czapką. I granatowy mundur. Powiedziała do mnie: „No, a teraz opowiedz mi dokładnie, jak to było.”

— A ty co na to? — zapytała Sandy po raz czwarty.

Po raz czwarty Jenny odparła:

— Ja powiedziałam, że on się przechadzał nad brzegiem rzeki pod drzewami i trzymał coś w ręce. A potem, jak mnie zobaczył, roześmiał się głośno i powiedział: „Chodź,

zobacz.” Ja zapytałam „Co?” i podeszłam trochę bliżej, i zobaczyłam... ale nie mogłam jej przecież powiedzieć, co zobaczyłam, prawda? Więc ona powiedziała: „I zobaczyłaś coś ohydneho?”, a ja odpowiedziałam „Tak”. Wtedy ona mnie zapytała, jak ten mężczyzna wyglądał, i...

I tak w kółko, ciągle ta sama historia. Sandy w poszukiwaniu jakichś poszlak domagała się coraz to nowych szczegółów na temat policjantki. Jenny wymówiła słowo „ohydny” jak „ohidny”, co jej się nigdy nie zdarzało.

— Czy ona powiedziała „ohydneho”, czy „ohidneho”? — zapytała Sandy za owym czwartym razem.

— „Ohidneho.”

Nastroiło to Sandy bardzo nieprzyjemnie i na długie miesiące zohydziło jej sprawy seksu. Im bardziej jednak wybrzydzała nad wymową tego słowa, tym bardziej ją to podniecało i Sandy zdręczała wprost Jenny, żeby zmieniła zdanie i przyznała, że policjantka wyraziła się właściwie.

— Wiele osób mówi „ohidny” — powiedziała Jenny.

— Wiem, ale ja ich nie lubię. Ci ludzie to takie ni to, ni sio.

Sprawa ta leżała Sandy bardzo na sercu, tak że musiała wymyślić jakąś inną koncepcję sposobu wyrażania się dla policjantki. Drugim kłopotliwym problemem było to, że Jenny nie wiedziała, jak ona się nazywa ani jak ją należy tytułować: „władzo”, „sierżancie” czy po prostu „pani”. Sandy zdecydowała się nazywać ją sierżantem Anną Grey. Była prawą ręką sierżant Anny, a ich zadanie polegało na zwalczaniu seksu na terenie Edynburga i okolic. W niedzielnych gazetach, do których Sandy miała swobodny dostęp, można było znaleźć wiele fachowych sformułowań w rodzaju: „doszło do zbliżenia” czy „powódka była w odmiennym stanie”. O kobietach, które odpowiadały za sprawy związane z seksem, nie pisało się „panna” czy „pani”, tylko po prostu wymieniano ich nazwiska: „Willis została zatrzymana w areszcie...”, „U Roebuck, jak podała obrona, stwierdzono odmienny stan.”

Sandy zsunęła na tył głowy swoją granatową policyjną



czapkę i siedząc na mostku koło sierżant Anny obserwo-  
wała to miejsce wśród drzew nad rzeką Leith, gdzie ów  
wstrętny bydlak powiedział do Jenny: „Chodź, zobacz”,  
a gdzie w rzeczywistości Sandy nigdy nie była.

„I jeszcze jedno — powiedziała — musimy lepiej zbadać  
sprawę Brodie i zobaczyć, czy w wyniku związku z Gor-  
donem Lowtherem, zwanym tu nauczycielem śpiewu żeń-  
skiej szkoły imienia Marcji Blaine, nie jest ona w od-  
miennym stanie.”

„Niewątpliwie doszło między nimi do zbliżenia” —  
oświadczyła sierżant Anna, której było bardzo do twarzy  
w ciemnym mundurze, z krótkimi kręconymi włosami  
tworzącymi jasną aureolę wokół czapki. I dodała: „Musimy  
tylko zdobyć parę obciążających dokumentów.”

„Proszę to już zostawić mnie, sierżant Anno” — rzekła  
Sandy, która właśnie pospołu z Jenny zajęta była fabry-  
kowaniem miłosnej korespondencji między panną Brodie  
a nauczycielem śpiewu. Sierżant Anna z wdzięcznością  
uścisnęła dłoń Sandy i obie spojrzały sobie w oczy ze zro-  
zumieniem zbyt głębokim, by je można było ująć w sło-  
wa.

W szkole po feriach przygoda znad Leith utrzymywana  
była przez Jenny i Sandy w tajemnicy, matka Jenny była  
bowiem zdania, że nie należy nadawać sprawie rozgłosu.  
Wydawało się jednak czymś zupełnie oczywistym, że Jen-  
ny w trybie poufnego zwierzenia zawiadomi o tej sensacji  
pannę Brodie.

Ale pierwszego popołudnia w szkole coś podkusiło San-  
dy, która powiedziała:

— Nie mów o tym pannie Brodie.

— Dlaczego? — spytała Jenny.

Sandy próbowała wymyślić jakieś uzasadnienie. Było  
ono związane z niezbyt jasnym charakterem stosunków łą-  
czących pannę Brodie z radosnym panem Lowtherem i z  
faktem, że po powrocie z ferii wielkanocnych pierwsza  
rzecz oznajmiła swojej klasie:

— Spędziłam Wielkanoc w małym rzymskim miasteczku  
Cramond. — Była to właśnie miejscowość, w której

mieszkał pan Lowther, zupełnie sam, w swoim dużym do-  
mu z gospodynią.

— Nie mów pannie Brodie — powiedziała Sandy.

— Dlaczego? — spytała Jenny.

Sandy wysiliła cały koncept, żeby sformułować swoje  
motywy. Wiązały się one również z czymś, co wydarzyło  
się na początku okresu, tego ranka, kiedy to panna Brodie  
posłała do pracowni plastycznej po szkicowniki i węgiel  
Monikę Douglas, a potem ją odwołała i zamiast niej po-  
słała Rose Stanley. Rose, obładowana szkicownikami i pu-  
dełkami kredy, wróciła w eskortie podobnie obładowanego  
Teddy Lloyda. Pan Lloyd rzucił szkicowniki na stertę  
i zapytał pannę Brodie, czy przyjemnie spędziła ferie. Po-  
dała mu rękę i powiedziała, że zwiedzała Cramond — nie  
powinno się lekceważyć tych małych pobliskich miaste-  
czek portowych.

— Nie przypuszczałem, że w Cramond może być cokol-  
wiek do z w i e d z a n i a — powiedział pan Lloyd, uśmie-  
chając się do niej, ze złocistym lukiem spadającym mu  
na oko.

— Ma wiele uroku — odparła. — A pan gdzieś wy-  
jeżdżał?

— Ja malowałem — rzekł swoim zachrypniętym gło-  
sem — portrety rodzinne.

Rose właśnie skończyła układanie szkicowników w sza-  
fie. Kiedy się odwróciła, panna Brodie objęła ją ramieniem  
i podziękowała panu Lloydowi za pomoc, jak gdyby ona  
i Rose stanowiły jedno.

— Ma za co — powiedział pan Lloyd zamiast: „Nie ma  
za co”, i wyszedł. To właśnie wtedy Jenny szepnęła:

— Rose się zmieniła w czasie ferii, prawda?

I rzeczywiście. Jej jasne włosy zostały przycięte krócej  
i nabrały połysku. Buzia wyciągnęła się i zrobiła blejsza,  
oczy, już nie tak szeroko otwarte, przysłonięte były po-  
wiekami, jakby pozowała do jakiegoś specjalnego zdjęcia.

— Może się rozwinęła — powiedziała Sandy. Panna Bro-  
die nazywała to menstruacją, ale dotychczas, ilekroć pró-



bowwały używać tego słowa między sobą, odczuwały skrępowanie i zaczynały chichotać.

Tego samego dnia nieco później, po lekcjach, Jenny oświadczyła:

— Ja chyba powinnam powiedzieć panie Brodie o tym mężczyźnie.

Sandy odparła:

— Nie mów panie Brodie.

— Ale dlaczego? — zapytała Jenny.

Sandy mimo usilnych starań nie potrafiła wymyślić dlaczego, poza tym, że miała niejasne poczucie czegoś niedopowiedzianego na temat panny Brodie, jej ferii w Cra-  
mond i posłania Rose do pana Lloyda, rzuciła więc tylko:

— Policjantka powiedziała, żeby o tym zapomnieć. A może panna Brodie będzie ci o tym przypominać.

Jenny rzekła:

— Ja też tak myślę.

Tak więc, gdy w pamięci dziewcząt mężczyzna znad rzeki Leith zacierał się coraz bardziej, wspomnienie policjantki stawało się coraz żywsze.

W ciągu ostatnich paru miesięcy swojej pracy w szkole panna Brodie zrobiła się do rany przyłóż. Nie czepiała się, nie strofowała dziewcząt, a doprowadzona do ostateczności — złościła się tylko na Mary Macgregor. Tej wiosny, wraz ze swoją klasą, objęła w wyłączne posiadanie ławki pod wiązem, skąd widać było bezkresną aleję ciemnoróżowych głógów i gdzie dochodził stukot końskich kopyt i skrzypienie lekkich wózków wracających bez ładunku boczną uliczką ze swoich porannych wypraw. W pobliżu, jakby to była zapowiedź nadchodzącego roku, grupa senierek przerabiała początki łaciny. Pewnego razu nauczycielka łaciny, rozmarzona wiosną, zaśpiewała ludową piosenkę, harmonizującą świetnie ze stukotem końskich kopyt — klip-klap — i skrzypieniem wózków, a panna Brodie uniosła palec wskazujący z zachwytem, żeby i jej dziewczęta posłuchały.

*Nundinarum adest dies,  
Mulus ille nos vehet  
Eie, curre, mule, mule  
I tolutari gradu.*

Tej wiosny matka Jenny spodziewała się dziecka i prawie nie było deszczu, a trawa, słońce i ptaki, otrząsnawszy się z zimowego samolubstwa, zaczęły myśleć o innych. Historia pierwszej miłości panny Brodie wzbogaciła się pod wiązem o nowe interesujące wątki: okazało się mianowicie, że przyjeżdżając na urlop w czasie wojny jej poległy narzeczony zabierał ją często na łódkę i że najpiękniejsze chwile spędzali wśród skałek i kamieni małego nadmorskiego portowego miasteczka.

— Czasami Hugh śpiewał, miał piękny głęboki tenor. To znów czasem, milczący, rozstawiał sztalugi i zaczynał malować. Miał duże zdolności zarówno w jednym, jak i w drugim kierunku, ale wydaje mi się, że prawdziwy Hugh to był Hugh-malarz.

Wtedy po raz pierwszy dziewczęta usłyszały o artystycznych skłonnościach Hugh'a. Sandy łamała sobie nad tym głowę i po naradzie z Jenny doszły do wspólnego wniosku, że panna Brodie dopasowuje swoją nową sercową historię do starej. Od tej pory obie słuchały tych opowieści szczególnie pilnie, podczas gdy reszta puszczała je mimo uszu.

W Sandy, zafascynowanej układaniem faktów w logiczną całość, walczyły dwa uczucia: podziwu dla tej techniki i palącej konieczności udowodnienia panie Brodie cudzołóstwa.

„No i co z tymi obciążającymi dokumentami?” — zapytała sierżant Anna w swój wesoły, przyjacielski sposób. Rzeczywiście była bardzo intrygującą osobą.

Sandy i Jenny zakończyły korespondencję miłosną pomiędzy panną Brodie a nauczycielem śpiewu w połowie okresu. Przebywały akurat w małym miasteczku Crail nad brzegiem Fife, u ciotki Jenny, która okazała nadmierne zainteresowanie ich brulionem; dziewczęta udały się więc autobusem do sąsiedniej osady i tam, u wylotu jaskini, zasiadły, by dokończyć dzieła. Sprawa była delikatna:



przedstawienie panny Brodie w świetle zarówno korzystnym, jak i niekorzystnym nastęrczało trudności, a teraz, kiedy ich ostatni okres pod jej kierunkiem miał się ku końcowi, stanęły wobec takiej konieczności.

A więc miały stwierdzić, że doszło między nimi do zbliżenia. Ale nie na zwykłym łóżku. Takie sceny były dobre na lekcje szycia, ale w końcu panna Brodie zasługiwała na coś lepszego. Umieściły ją więc na wyniosłym szczycie Wzgórza Artura, gdzie dachem nad głową było jej niebo, a posłaniem paprocie. Morze zieleni umknęło gdzieś w dal, najpierw błysnęło, a zaraz potem rozległ się grzmot. To właśnie tutaj znalazł ją Gordon Lowther, nieśmiały, zawsze uśmiechnięty, nieduży, z długim tułowiem i krótkimi nogami, ze swoją rudą czupryną i wąsikiem.

— Posiadł ją — powiedziała Jenny, kiedy omawiały to po raz pierwszy.

— Tak, posiadł ją — właśnie. Nie, to ona mu się oddała.

— Oddała mu się — zakończyła Jenny — chociaż rada by się oddać innemu.

Ostatni list z tej serii, zakończony w połowie okresu, brzmiał:

„Mój jedyny, najdroższy Gordonie!

Jak sobie zapewne wyobrażasz, Twój list wzruszył mnie głęboko. Niestety jednak nie mogę zostać panią Lowther. A to z dwojakich powodów. Otóż moim powołaniem są moje dziewczęta, tak jak powołaniem madame Pawłowej jest taniec, a poza tym istnieje w moim życiu inny, którego odwzajemniona miłość nie zna ograniczeń Czasu i Przestrzeni. Jest nim Teddy Lloyd! Nigdy nie doszło między nami do zbliżenia. To człowiek żonaty. Pewnego dnia w pracowni plastycznej, złączeni w namiętym pocałunku, poznaliśmy prawdę. Ale z dumą oddałam się Tobie, kiedy wśród szalejącej burzy przyszedłeś mnie posiąść na Wzgórzu Artura. Jeśli się okaże, że jestem w odmiennym stanie, umieszczę dziecko u pewnego pocziwego pasterza

i jego żony i możemy omówić tę sprawę spokojnie, jakby łączyła nas przyjaźń platoniczna. Jeżeli czasem pozwolę sobie jeszcze na złe prowadzenie, złóż to, proszę, na karb mojej pełni. Niejeden wiatr owiać może nas jeszcze, gdy wypłyniemy łodzią na morze.

Chciałabym Cię także zawiadomić, że Twoja gospodyni napełnia mnie lękiem jak John Knox. Obawiam się, że jest dość ograniczona, co wynika z braku kultury i nieznamomości włoskiej scenerii. Proszę Cię bardzo, zwróć jej uwagę, żeby nie mówiła: «Pani wie, jak się idzie na górę», kiedy przyjeżdżam do Ciebie do Cramond. Powinna mnie tam zaprowadzić i wpuścić. To nieprawda, że ma nogi zeszywniałe w kolanach. Ona tylko udaje.

Ubóstwiam, jak śpiewasz *Hej, Johnie Cope*. Ale gdyby jutro miał mi się oświadczyć sam prezes Kolegium Heraldycznego Królestwa Szkocji, odrzuciłabym go z pewnością.

Niech mi będzie wolno na koniec pogratulować Ci gorąco zarówno stosunku płciowego, jak i Twego śpiewu.

Z wyrazami najczulszej radości  
Jean Brodie.”

Kiedy skończyły pisać ten list, przeczytały całą korespondencję od początku do końca. Nie były wtedy zdecydowane, czy wrzucić te obciążające dokumenty do morza, czy je zakopać. Rzucanie różnych rzeczy do morza jest, jak wiedziały, sprawą trudniejszą, niż się mogło wydawać. Ale Sandy znalazła jakąś wilgotną szczelinę w głębi grotu, na pół ukrytą za kamieniem, i tam wcisnęły brulion z miłosną korespondencją panny Jean Brodie, by go już nigdy nie oglądać. Idąc po świeżej, sprężystej trawie wróciły pieszo do Crail, pełne nowych planów i najczulszej radości.

#### ROZDZIAŁ IV

— Mam w tym słoju dość prochu, żeby wysadzić w powietrze całą szkołę — powiedziała panna Lockhart spokojnym tonem.



Stała za swoim stołem, w białym płóciennym fartuchu, trzymając obie ręce na szklanym flakonie w trzech czwartych wypełnionym ciemnoszarym proszkiem. Śmiertelna cisza, jaka zapadła, była efektem, którego właśnie oczekiwała, ponieważ zawsze pierwszą lekcję chemii zaczynała od tych słów, ze słojem prochu przed sobą, i ta pierwsza lekcja chemii właściwie wcale nie była lekcją, tylko podawaniem nazw najbardziej intrygujących rzeczy w pracowni chemicznej. Wszystkie oczy wlepione były w słój. Panna Lockhart podniosła go i ostrożnie umieściła w szafie zastawionej podobnymi naczyniami, pełnymi różnokolorowych kryształków i proszków.

— To są palniki bunsenowskie, to jest probówka, to jest pipeta, to jest menzurka, to jest retorta, tamto jest tygiel.

W ten sposób ustanawiała swoje tajemnicze kapłaństwo. Była to bez wątpienia najsympatyczniejsza nauczycielka w całej szkole średniej. Ale one wszystkie były najsympatyczniejsze. W ogóle zaczęło się dla dziewcząt zupełnie nowe życie i niemal nowa szkoła. Nie było tu kościstych pań jak panna Gnat, tych, które mijając wyniośle na korytarzach pannę Brodie, mówiły jej „dzień dobry” ze znaczącym uśmiechem. Tu nauczyciele interesowali się swoimi kolegami tylko o tyle, o ile dotyczyło to ich specjalności: matematyki, łaciny czy chemii; sprawy osobiste były im obojętne. Pierwszoklasistki traktowali, jak gdyby nie były realnymi istotami, tylko czymś, z czym się ma do czynienia, jak z symbolami algebraicznymi, ale uczennicom panny Brodie wydawało się to z początku zabawne. Wspaniała także w tym pierwszym tygodniu wydał im się rozkład zajęć — tyle nowych oszałamiających przedmiotów i bieganie z klasy do klasy, żeby zdążyć na poszczególne lekcje. Dni pełne były teraz nieznanymi kształtów i tonów, w magiczny sposób wyodrębnionych z życia codziennego: wielkich kół i trójkątów geometrii, hieroglifów greki, dziwnych syków i parsknięć greckich dźwięków wydobywających się z ust nauczycielki, jak psst... psuk...

W parę tygodni później, kiedy z chaosu wrażeń wzrokowych i słuchowych wyłoniły się znaczenia, trudno wprost

było uwierzyć w rozrywkowy nastrój tego pierwszego tygodnia, w jakieś syki i parskania czy w to, że słowo „*men-sarum*” brzmiało kiedykolwiek jakby żywcem wzięte z bzdurnego wierszyka. Program nowożytny aż do trzeciej klasy różnił się od klasycznego tylko językami. Dziewczęta przerabiające kurs nowożytny uczyły się hiszpańskiego i niemieckiego, co w przerwach dawało zabawny efekt: jakby ktoś kręcił gałkę radia, jadąc wzdłuż skali po zagranicznych stacjach. Mademoiselle o czarnych kędzierzawych włosach, w koszuli w paski i z prawdziwymi spinakami w mankietach, miała bardzo cudzoziemski francuski akcent, który prawdę powiedziawszy nigdy się nie przyjął. Pracownia chemiczna pachniała niejednolicie — ulicą Canongate z tego zimowego spaceru z panną Brodie, palnikami bunsenowskimi i słodkawym jesiennym dymem pierwszych palonych liści, który wpadał przez okna. Tu, w pracowni chemicznej — w żadnym razie nie mylić z laboratorium — lekcje nazywały się doświadczeniami. Stwarzało to wrażenie, że nawet sama panna Lockhart nie wie, co może z nich wyniknąć, i że od wejścia dziewcząt do klasy do chwili ich wyjścia może się zdarzyć dosłownie wszystko, łącznie z wysadzeniem szkoły w powietrze.

Tu właśnie w tym pierwszym tygodniu odbywało się doświadczenie polegające na muskaniu płomienia bunsenowskiego probówką z magnezem. Od czasu do czasu w różnych częściach pracowni z próbek eksplodowały wielkie białe błyski, które łapało się w specjalnie na ten cel przygotowane większe szklane naczynia. Mary Macgregor w przerażeniu rzuciła się do ucieczki wąskim przejściem między dwiema ławkami, natknęła się na biały płomień, więc zawróciła, po to tylko, by nadzieć się na inny oślepiający język ognia. Miotła się w panice między tymi ławkami, aż ją przytrzymało i posadzono, żeby się uspokoiła, a panna Lockhart, która już zdążyła się przekonać, jak irytujący jest widok twarzy Mary — dwojga oczu, nosa i ust zupełnie bez wyrazu — powiedziała jej, żeby nie była taka głupia.

Kiedyś, znacznie później, kiedy Rose Stanley przyszła



odwiedzić Sandy i zaczęły mówić o nieżyjącej już wtedy Mary Macgregor, Sandy powiedziała:

— Ile razy przytrafił mi się coś złego, żałuję, że nie byłam miłsza dla Mary.

— Skąd mogliśmy wiedzieć? — rzekła Rose.

Tak samo panna Brodie, siedząc wtedy z Sandy przy oknie w hotelu Braid Hills, powiedziała: „Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie Mary mnie zdradziła. Powinnam była być lepsza dla Mary.”

W tym okresie stadku panny Brodie groził rozpad, i to nie tylko dlatego, że panna Brodie przestała już zajmować poczesne miejsce w ich życiu, wypełnionym teraz nauką pod kierunkiem bezdusznych specjalistów, ale również dlatego, że dyrektorka postawiła to sobie za cel.

Uknuła pewien plan, który spalił na panewce. Był zbyt ambitny: chciała za jednym zamachem uwolnić szkołę od panny Brodie i zniszczyć jest stadko.

Zaczęła więc kokietować Mary Macgregor, uważając ją za naiwną i łatwą do przekupienia, ale jednocześnie doceniając jej głupoty. Przypomniła sobie, że Mary, podobnie jak pozostałe dziewczęta panny Brodie, obrała kierunek klasyczny i nie została przyjęta. Panna Mackay zmieniła teraz zdanie i pozwoliła jej się uczyć przynajmniej łaciny. W zamian za to oczekiwała od niej informacji. Ale ponieważ jedynym powodem, dla którego Mary chciała się uczyć łaciny, była chęć przypodobania się pannie Brodie, niewiele dyrektorce z tego przyszło. Zaproszona na herbatę, Mary nie rozumiała po prostu, czego od niej oczekują, i wyobrażała sobie, że wszyscy nauczyciele, nie wyłączając oczywiście panny Brodie, tworzą wspólny front.

— Teraz, w starszych klasach — powiedziała panna Mackay — nie będziecie się tak często widywać z panną Brodie.

— Aha. — Mary nie dostrzegając w tym próby sondażu potraktowała to jako zarządzenie.

Panna Mackay obmyśliła następny plan, który ją zniszczył. W szkole średniej, podzielonej na cztery zespoły:

Holyrood, Melrose, Argyll i Biggar, panował system oparty na daleko idącej rywalizacji. Panna Mackay dopilnowała, żeby dziewczęta panny Brodie rozdzielono pomiędzy różne zespoły. Jenny trafiła więc do Holyrood, Sandy i Mary Macgregor do Melrose, Monika i Eunice do Argyll, a Rose Stanley do Biggar. Tym samym były zmuszone współzawodniczyć ze sobą na każdym polu, zarówno w obrębie szkoły, jak i na wymiecionych przez wiatr boiskach hokejowych, przypominających groby męczenników rozsiane pod gołym niebem gdzieś na dalekim przedmieściu. Najważniejszy jest teraz, jak im powiedziano, duch zespołowy. Muszą dać z siebie wszystko, by zdobyć odznakę sportową, a w soboty rano stawiać się w komplecie, żeby wrzaskiem dopingować swój zespół. Oczywiście przyjaźnie indywidualne nie powinny na tym ucierpieć, ale duch zespołowy...

Ten zwrot w zupełności wystarczył dziewczętom panny Brodie, które po dwóch latach pod jej kuratelą były dokładnie obznajmione z jego znaczeniem.

— Sformułowania w rodzaju „duch zespołowy” służą z reguły niszczeniu indywidualności, uczucia miłości i więzów wzajemnej lojalności — mawiała. — Takich pojęć przede wszystkim nie należy narzucać kobietom, w szczególności obdarzonym naturą skłoną do poświęceń, których zalety od niepamiętnych czasów pozostawały w zasadniczej sprzeczności z tą ideą. Florence Nightingale nie miała pojęcia o duchu zespołowym, jej posłannictwo polegało na ratowaniu życia ludzkiego niezależnie od zespołu, do jakiego ono należało. Kleopatra, jeżeli uważnie czytaliście Szekspira, nie wiedziała nic o duchu zespołowym. A weźcie Helenę trojańską. Czy choćby królową angielską: prawda, że chodzi na międzynarodowe rozgrywki sportowe, ale wyłącznie dlatego, że musi — to przecież tylko szopka — w gruncie rzeczy interesuje się jedynie zdrowiem króla i antykami. Do czego by doprowadził duch zespołowy Sybil Thorndike? Przecież to ona jest wielką artystką, podczas gdy resztę aktorów ożywia duch zespołowy. Czy Pawłowa...



Być może panna Brodie przewidziała ten moment w przyszłości, kiedy jej zespół sześciu dziewcząt zostanie poddany działaniu czterech różnych współzawodniczących ze sobą „duchów”: Argyll, Melrose, Biggar i Holyrood. Trudno powiedzieć, co z jej poczynąć było wynikiem świadomych przemyśleń, a co przejawem instynktu. W każdym razie w tej pierwszej próbie sił panna Brodie zwyciężyła. Żadna z przewodniczących szkolnych zespołów nie ośmieliłaby się konkurować z Sybil Thorndike czy Kleopatram. Idea ducha zespołowego była dziewczętom panny Brodie równie obca jak idea harcerstwa. I nie tylko im, ale przynajmniej z dziesięciu innym jeszcze uczennicom, które przeszły przez jej ręce i które z boisk sportowych korzystały tylko pod przymusem. Nie było nawet mowy o wcieleniu żadnej z nich, z wyjątkiem Eunice Gardiner, do jakiegokolwiek drużyny, by wypróbować jej ducha zespołowego. A wszyscy zgadzali się co do jednego: Eunice jest tak dobra w sporcie, że to nie jej wina.

Przeważnie w sobotnie popołudnia panna Brodie podejmowała swoje stadko herbatą i słuchała opowieści o ich nowych przeżyciach. Co do niej, wyznała, nie jest wysokiego mniemania o możliwościach swoich nowych uczennic. Opisywała nawet niektóre z tych małych dziewczynek, co wywoływało śmiech wśród jej pupilek, zacieśniając jeszcze mocniej ich wzajemną więź i umacniając je w poczuciu, że są wybrankami. Prędzej czy później kończyło się na wypytywaniu, co przerabiają na lekcjach rysunków, teraz bowiem uczył je złocistowłosa, jednoręki Teddy Lloyd.

Zresztą zwykle było wiele do powiedzenia na ten temat. Pierwszego dnia pan Lloyd miał trudności z utrzymaniem porządku na lekcji. Po tylu godzinach intensywnej nauki różnych konkretnych przedmiotów, nie nawykłe do takiego wysiłku dziewczęta błyskawicznie reagowały na właściwą pracowni plastycznej atmosferę odprężenia i zaczynały szaleć. Pan Lloyd krzyczał na nie swoim ochryplym głosem, żeby się uspokoiły, co je tylko dodatkowo podniecało.

By wyjaśnić im istotę i formę zewnętrzną elipsy, uniósł w swojej jedynej ręce półmisek, najpierw wysoko w górę, a potem trochę niżej. Ale jego romantyczna poza i ochryple „spokój!” wywołały w odpowiedzi jedynie chichoty o różnej tonacji i nasileniu.

— Jeśli w tej chwili się nie uspokoiacie — powiedział — roztrzaskam ten półmisek o podłogę.

Dziewczęta próbowały się uspokoić, ale bezskutecznie.

Pan Lloyd roztrzaskał półmisek o podłogę.

Wśród głuchej ciszy, jaka zaległa, wskazując skorupy półmiska polecił Rose Stanley:

— Ty z tym profilem, pozbieraj to.

To rzekłszy odwrócił się i poszedł w drugi koniec długiej pracowni, gdzie przez całą lekcję zajmował się czym innym, podczas gdy zdumione jego zachowaniem dziewczęta, w nowym świetle ujrawszy teraz profil Rose Stanley, w spokoju zabrały się do rysowania ustawionej na tle zasłony butelki. Jenny szepnęła do Sandy, że panna Brodie ma naprawdę dobry gust.

— Oczywiście ma on artystyczny temperament — oświadczyła panna Brodie, kiedy dziewczęta opowiedziały jej o półmisku. A potem jej powiedziały, że wywołał Rose: „Ty z tym profilem”, i panna Brodie spojrzała na Rose w szczególny sposób, a Sandy spojrzała na pannę Brodie.

Od czasu kiedy Sandy i Jenny pogrzebały swój ostatni utwór i zaczęły szkołę średnią, ich zainteresowanie sprawami sercowymi panny Brodie weszło w nowy etap. Przystały widzieć wszystko w kontekście seksualnym i zajęły się raczej zgłębianiem tajników serca. Świat wyłącznego panowania seksu wydawał się już czymś bardzo odległym. Jenny skończyła dwanaście lat. Jej matka urodziła właśnie syna, co nie skłoniło dziewcząt nawet do dociekań nad jego początkami.

— W szkole średniej niewiele jest czasu na studia nad seksem — powiedziała Sandy.

— Ja już chyba mam to z głowy — odparła Jenny. Dziwne, ale była to prawda; Jenny ponownie doznała tego świeżego uczucia erotycznej fascynacji dopiero jako ko-



bieta pod czterdziestkę, średniej klasy aktorka i żona menażera teatralnego. Zdarzyło się to nagle, gdy stała z mężczyzną, którego nie знаła zbyt dobrze, pod jedną ze sławnych rzymskich budowli, czekając, aż przestanie padać. Zdumiało ją budzące się znowu to lekkie, beztro- skie uczucie: świadomość seksu — doznanie ni to fizycz- ne, ni psychiczne, niosące w sobie straconą, a tak szczerą rozkosz wieku lat jedenastu. Wydawało jej się nawet, że jest zakochana w tym człowieku, który wyszedł ku niej z jakiegoś własnego świata nie mającego dla Jenny żad- nych punktów odniesienia. Sprawa była jednak bez przy- szłości ze względu na szesnastoletnie udane małżeństwo Jenny; ilekroć jednak później wracała do niej we wspo- mnieniach, napełniała ją ona zdumieniem i poczuciem, że ukryte możliwości istnieją dosłownie we wszystkim.

— Od pana Lowthera — powiedziała panna Brodie pew- nego sobotniego popołudnia — odeszła gospodyni. To nie- wdzięczność z jej strony, prowadzenie tego domu w Cra- mond nie stanowiło żadnego problemu. Jak wiecie, nigdy za nią nie przepadałam. Przypuszczam, że była zazdrosna o moją pozycję przyjaciółki i powiernicy pana Lowthera i że drażniły ją moje wizyty. Pan Lowther komponuje właśnie muzykę do pewnej pieśni. Potrzebna mu jest za- chęta.

W następną sobotę oznajmiła dziewczętom, że panny Ellen i Alison Kerr, mieszkające w pobliżu Cramond, zgo- dziły się chwilowo prowadzić panu Lowtherowi dom.

— Te siostry są bardzo dociekliwe — zauważyła. — Są pod zbyt wielkim wpływem panny Gnat i Kościoła szko- ckiego.

W sobotnie popołudnia panna Brodie poświęcała godzi- nę na naukę greki. Wymagała od Jenny i Sandy, żeby systematycznie przerabiała z nią program.

— Ten zwyczaj ma swoją starą tradycję — oświadczy- ła. — W dawnych czasach wiele było rodzin, które mogły sobie pozwolić na posyłanie do szkoły tylko jednego dzie- cka; wieczorem ten jedyny w rodzinie „student” przeka- zywał innym to, czego się nauczył rano. Od dawna chcia-

łam poznać język grecki, a w ten sposób i wy utrwalicie swoje wiadomości. John Stuart Mill jako pięcioletnie dzie- cko wstawał o świcie, żeby uczyć się greki, a to, co mógł robić John Stuart Mill jako dziecko o świcie, ja mogę robić w sobotnie popołudnia w pełni mego życia.

Panna Brodie robiła postępy w grece, jednakże uczona na zmianę przez Jenny i Sandy, które przekazywały jej wiedzę w tygodniowych porcjach, w sprawach akcentu miała zupełny zamęt. Była jednak zdecydowana brać udział w nowym życiu swoich pupilek, a to, co w ich programie nauki uważała za niehumanistyczne albo co nie mieściło się w sferze jej wpływów, po prostu wyszydzała.

— To głęboka mądrość — mówiła — że prosta jest naj- krótszą linią przechodzącą przez dwa punkty albo że koło to część płaszczyzny ograniczona linią stanowiącą zbiór punktów jednakowo odległych od jednego punktu, zwa- nego środkiem okręgu. To mądrość aż nazbyt oczywista. Każdy wie, co to linia prosta czy koło.

Przeglądając prace egzaminacyjne dziewcząt po pierw- szym okresie, z największą pogardą odczytywała głośno co łatwiejsze do ośmieszenia przykłady:

— Pomywacz okien niesie drabinę pojedynczą o wadze 60 funtów i długości 15 stóp, na której końcu zawieszony jest kubeł z wodą ważący 40 funtów. W którym punkcie człowiek powinien podtrzymywać drabinę, by nieść ją w pozycji poziomej? Gdzie znajduje się środek ciężkości tego ładunku? — Odczytawszy pytanie panna Brodie patrzyła na tekst w taki sposób, jakby nie wierzyła własnym oczom. Nieraz zresztą dawała dziewczętom do zrozumienia, że rozwiązywanie podobnych problemów byłoby całkowicie bezużyteczne dla Sybil Thorndike, Anny Pawłowej czy świętej pamięci Heleny trojańskiej.

Na ogół jednak dziewczęta z jej stadka były nadal pod urokiem nowych przedmiotów. Skończyło się to bezpo- wrotnie, kiedy w starszych klasach język fizyki, chemii, algebry czy geometrii utracił swoją pierwotną niezwykłość stając się odrębną dziedziną życia, spowszedniała w cięż- kiej pracy. Nawet Monika Douglas, która później zabyła



jako świetna matematyczka, nigdy chyba nie przeżyła takiego objawienia, jak w chwili gdy po raz pierwszy odjęła  $x$  od  $y$ , a to, co jej wypadło, od  $a$ ; w każdym razie nigdy potem nie robiła wrażenia takiej uszczęśliwionej.

W pierwszym okresie Rose Stanley potrafiła z całym zapałem przekroić robaka na pół, co nie przeszkadzało, że pod koniec drugiego okresu na samą myśl o tym dostawała dreszczy i w ogóle przestała uczyć się biologii. Rewolucja przemysłowa, jej złe i dobre strony stanowiły dla Eunice Gardiner takie odkrycie, że nauczycielka historii, wegetarianka i komunistka, pokładała w niej wielkie nadzieje, które rozwiały się w ciągu paru miesięcy, gdy w zainteresowaniach Eunice nastąpił nagły zwrot ku powieściom z życia Marii Stuart. Sandy, która miała bardzo brzydki charakter pisma, zapelniała całe zeszyty równiutkimi rzędkami greckich liter, Jenny zaś pracowicie wykonywała rysunki aparatury w zeszycie do chemii. Nawet tępa Mary Macgregor ku własnemu zdumieniu zdołała pojąć utwór Cezara *De bello Gallico*, który dotychczas nie znajdował dostępu do jej ograniczonej umysłowości, a którego pisownia i wymowa okazały się dla niej łatwiejsze niż angielski. Nagle jednak jej wypracowanie zdradziło, że Mary wywodzi ten utwór z czasów Samuela Pepysa. Wzięta z tej okazji w krzyżowy ogień pytań, nieszczęsna ofiara wyznała, że łacina i stenografia to dla niej jedno, pogrążając się raz jeszcze w oczach rozbawionych koleżanek.

Dzielenie z dziewczętami tego entuzjazmu, który sama w nich zaszczepiła, nie było w ciągu tych pierwszych miesięcy, kiedy szkoła średnia zaanektowała jej stadko, sprawą łatwą dla panny Brodie. Ale po zwycięstwie odniesionym nad duchem zespołowym nie narzekwała. Nawet wtedy jednak nie ulegało wątpliwości, że chodzi jej głównie o to, by nie dopuścić do powstania więzów natury osobistej między jej dziewczętami a którąkolwiek z nauczycielek. Starannie unikała jednak bezpośrednich ataków, widząc obojętność, z jaką jej koleżanki odnosiły się do stadka.

Z nadejściem lata ulubionym miejscem dziewcząt stała się sala gimnastyczna, gdzie spędzały czas w atmosferze zupełnie nienaukowej: ćwiczyły na poręczach, zwiślały do góry nogami z drabinek albo w rywalizacji z nieźrównaną Eunice — jak małpy po lianach — wchodziły po linie aż do sufitu; wśród nich nauczycielka gimnastyki, drobna, siwa fryga demonstrowała ćwiczenia i z wyraźnym szkockim akcentem wykrzykiwała polecenia, często gęsto przerywane atakami kaszlu, z powodu którego wysłano ją później do sanatorium w Szwajcarii.

Z nadejściem lata, w obronie przed napierającą zewsząd nudą i próbując pogodzić codzienne obowiązki z miłością do panny Brodie, Sandy i Jenny zaczęły w sposób żartobliwy stosować nowo nabytą wiedzę do jej osoby: Jeśliby zważyć pannę Brodie najpierw w powietrzu, a potem w wodzie... Albo kiedy pan Lowther wydawał się na lekcjach śpiewu jakiś nieswój, przypominały jedna drugiej, że zanurzona Jean Brodie traci tyle na wadze, ile waży wyparty przez nią Gordon Lowther.

Obecnie, późną wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, panna Brodie przerwała sobotnie lekcje greki ze względu na pana Lowthera, którego domem w Cramond, nie znanym dziewczętom jak dotąd, tak ochoczo zajęły się siostry Kerr. Mieszkając w bliskim sąsiedztwie mogły bez trudu wpadać na zmianę po lekcjach, by zrobić mu kolację i przygotować produkty na śniadanie; robiły to nie tylko bez trudu, ale z satysfakcją, jaką daje poczucie przydatności, tym bardziej że w pewien elegancki sposób nawet im się to opłacało. W soboty albo panna Ellen, albo panna Alison liczyła mu bieliznę do prania i sprzątała dom. W niektóre soboty rano obie były zajęte: panna Ellen doglądała kobiety, która przychodziła robić porządki, a panna Alison załatwiała zakupy na cały tydzień.

Nigdy dotąd nie czuły się tak ważne i pożyteczne, a szczególnie od śmierci najstarszej siostry, która im zawsze mówiła, co robić z nadmiarem wolnego czasu, tak że panna Alison nie mogła się przyzwyczaić, gdy ją nazywano panną Kerr, zaś panna Ellen bez polecenia zmar-



tej panny Kerr nie potrafiła zdobyć się na to, żeby iść do biblioteki i pożyczyć książkę.

Ale siostra pastora, kościśta panna Gnat, po cichu przejęła rolę ich zmarłej siostry. Jak się później okazało, panna Gnat bardzo popierała ten układ z Gordonem Lowtherem i zachęcała je, żeby dla własnego dobra i z pewnych względów natury dyskretnej, związanych z panną Brodie, zgodziły się do niego na stałe.

Do tej pory panna Brodie odwiedzała pana Lowthera w niedziele. Zawsze w niedzielę rano szła do kościoła, załatwiając w kolejności najrozmaitsze wyznania i sekty, nie wyłączając Wolnego Kościoła Szkockiego, Szkockiego Kościoła Panującego, metodystów, Kościoła episkopalnego i wszelkich innych, jakie zdołała odkryć, poza Kościołem rzymsko-katolickim. Jej niechęć do wyznania rzymskiego opierała się na przekonaniu, że jest to religia przesądu, a katolicy są ludźmi, których nie stać na samodzielne myślenie. Dziwne, bo z temperamentu panna Brodie była typową katoliczką; może nawet jej skłonny do wzlotów i upadków duch, ujęty w ryzy tej religii, znalazłby w niej ukojenie; może by nawet stała się normalniejsza. Ale zapewne właśnie dlatego się przed tym wzdragała — gdy bowiem chodziło o sprawy Kościoła katolickiego, panna Brodie, miłośniczka Włoch, odwoływała się do surowej edynburskiej strony swojej natury, której normalnie trudno byłoby się u niej dopatrzeć. Tak więc każdej prawie niedzieli robiła obchód wszystkich niekatolickich kościołów. Nie miała cienia wątpliwości, jak się chętnie zwierzała — przeciwnie — była pewna, że cokolwiek przedsięweźmie, Bóg jest po jej stronie, dzięki czemu w sprawach wiary nie miała żadnych trudności — wolna od hipokryzji nawet gdy szła do łóżka z nauczycielem śpiewu. Ale tak jak ludzie tracą umiar z nadmiaru poczucia winy, tak panna Brodie straciła umiar z nadmiernego braku poczucia winy.

Skutki uboczne tego stanu rzeczy były dla jej dziewcząt radosne, jako że w pewnym sensie korzystały one z całkowitego rozgrzeszenia, jakiego sobie panna Brodie udzie-

lała, i dopiero z perspektywy czasu potrafiły ocenić jej stosunek z panem Lowtherem we właściwy sposób. Dopóki bowiem pozostawały pod jej wpływem, zarówno panna Brodie, jak wszelkie jej poczynania nie mieściły się w kategoriach dobra i zła. I musiało upłynąć dwadzieścia pięć lat, żeby Sandy, otrząsnąwszy się z koszmarnechaosu własnych wyobrażeń, potrafiła spojrzeć wstecz i zrozumieć, że brak samokrytycyzmu u panny Brodie miał swoje dobre strony, że był w pewnym sensie twórczy; ale do tego czasu Sandy zdążyła zdradzić pannę Brodie, która już wtedy spoczywała w grobie.

Zwykle w niedzielę, po porannym nabożeństwie, panna Brodie jeździła do Cramond, gdzie jadła lunch i zostawała na całe popołudnie. Spędzała również z panem Lowtherem niedzielne wieczory i najczęściej noce; należąc jednak sercem do odrąconego nauczyciela rysunków, traktowała to ostatnie, jeśli już nie jako męczeństwo, to w każdym razie jako obowiązek.

Pan Lowther, ze swoim długim tułowiem i krótkimi nogami, był facetem nieśmiałym; uśmiechał się niemal do wszystkich spod płomiennie rudego wąsa i w swój miły sposób, mało mówiąc i dużo śpiewając, potrafił sobie zjeść każdego.

Kiedy było już pewne, że siostry Kerr zgodziły się na stałe do tego wstydlivego, pełnego uśmiechów kawalera, panna Brodie ubzdurzyła sobie, że on chudnie. Ogłosiła swoje odkrycie dokładnie w tym samym czasie, kiedy Jenny i Sandy zauważyły, że ona zeszcupiała, i zaczęły się zastanawiać — ponieważ jako trzynastoletnie dziewczynki zwracały już na te sprawy uwagę — czy panna Brodie jest piękna w sensie fizycznym i czy może się podobać mężczyznom. Patrząc na nią w nowy sposób zdecydowały, że odznacza się pewną niepospolitą, romantyczną urodą, że schudła z powodu swojej nieszczęśliwej miłości do pana Lloyda, którego tak szlachetnie zastąpiła panem Lowtherem, i że jest jej z tym schudnięciem do twarzy.

A tymczasem panna Brodie mówiła:



— Ostatnio pan Lowther wygląda bardzo mizernie. Nie mam zaufania do tych siostr Kerr, one go we wszystkim ograniczają; same są ograniczone. Jedzenie, które mu zostawiają w soboty, ledwie starcza na niedzielę, nie mówiąc już o reszcie tygodnia. Gdyby tylko można było przekonać pana Lowthera, że powinien wyprowadzić się z tego dużego domu i wynająć sobie mieszkanie w Edynburgu — o ile łatwiej byłoby się nim opiekować. A on wymaga opieki. Ale on sobie nie da wytłumaczyć. Trudno przekonać kogoś, kto nie oponuje, tylko się uśmiecha.

Zdecydowała się mieć na oku siostry Kerr, gdy w soboty aprowidowały pana Lowthera na cały tydzień.

— On im za to nieźle płaci — powiedziała. — Już ja dopilnuję, żeby kupowały to, co trzeba, i w odpowiednich ilościach. — Pomysł ten mógł się wydać dziewczętom niezbyt stosowny, ale nie odczuły tego w ten sposób. Gorąco zachęcały pannę Brodie, żeby zrobiła z tymi Kerr porządek: częściowo spodziewały się, że może z tego wyniknąć coś ciekawego, a częściowo wierzyły, że uśmiech pana Lowthera rozpędzi wszelkie chmury; zresztą panny Kerr były ohydne, a najważniejsze, że panna Brodie znaczyła co najmniej tyle, ile obie siostry razem wzięte — była kwadratem przeciwprostokątnej w trójkącie prostokątnym, podczas gdy one były tylko kwadratami pozostałych boków.

Siostry Kerr pokornie zgodziły się na interwencję panny Brodie i dlatego właśnie, że ich stosunek do wszelkiej władzy był tak bezkrytyczny, w stosownym momencie posłusznie odpowiadały na związane z tym pytania panny Gnat. Tymczasem panna Brodie postanowiła odkarmić pana Lowthera, a ponieważ oznaczało to spędzanie przez nią sobotnich popołudni w Cramond, zapraszała tam swoje dziewczęta po dwie co tydzień. Pan Lowther uśmiechał się i głaskał je po włosach albo pociągał ładną Jenny za kędziory, próbując wyczytać w piwnych oczach Jean Brodie naganę, aprrobatę czy coś w tym rodzaju. Kiedy panna

Brodie podawała herbatę, pan Lowther znów się uśmiechał, a często odstawiał filiżankę i spodek, siadał przy fortepianie i zaczynał śpiewać:

Marsz, marsz, Ettrick i Teviotdale,  
Idźcie naprzód, do diaska, chyba wam bez różnicy,  
Marsz, marsz, Eskdale i Liddesdale,  
Bo Błękitne Berety idą dziś ku granicy.

Skończywszy uśmiechał się ulegle, nieśmiało, brał z powrotem filiżankę i spod rudych brwi spoglądał na Jean Brodie, żeby sprawdzić, czy jest w tej chwili z niego zadowolona. Dla niego była ona Jean, czego żadna z jej dziewcząt nie uważała za stosowne przed nikim zdradzać.

Panna Brodie zdała Jenny i Sandy sprawę ze swojej akcji.

— Rozprawiłam się z tymi siostrami Kerr. One go po prostu głodziły. Teraz ja się zajmuję aprowizacją. Nie zapominajcie, że wywodzę się od Willie'ego Brodie, człowieka majątnego, stolarza i artysty, który projektował szubienice, był członkiem Rady Miejskiej Edynburga i utrzymywał dwie kochanki, matki jego pięciorga dzieci. Znać po mnie to dziedzictwo. Dużo grywał w kości i entuzjastmował się walkami kogutów. W końcu ścigano go za napad na Urząd Podatkowy, którego dokonał bynajmniej nie dla pieniędzy; został włamywaczem wyłącznie ze względu na dreszcz przygody. Oczywiście schwytano go za granicą i odstawiono do więzienia Tolbooth, ale był to czysty przypadek. Skończył pogodnie na szubienicy własnej konstrukcji w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym. Mniejsza o to, jak tam naprawdę było — z takiej jestem ulepiona gliny i nie mam zamiaru tolerować żadnych nonsensów panien Ellen i Alison Kerr.

Pan Lowther śpiewał:

O matko, matko, pościel mi łożo,  
Zaściel je wąsko i międko,  
Za mnie dziś umarł wierny kochanek,  
Ja umrę jutro za niego.



Po czym spojrział na pannę Brodie, ale ona patrzyła na obtłuczony brzeg filiżanki.

— To Mary Macgregor musiała poobtłukiwać — powiedziała. — Była tu w zeszłą sobotę z Eunice i razem zmywały. — Tak, to musiała zrobić Mary.

W letniej trawie przed domem migotały stokrotki. Trawnik rozciągał się daleko wzdłuż i wszcz, tak że ledwo było widać niewielki lasek za nim, ale nawet ten lasek należał do pana Lowthera, i pola za laskiem. Nieśmiały, łagodny i muzykalny pan Lowther był człowiekiem mądrym.

Teraz Sandy próbowała analizować pannę Brodie nie tylko z punktu widzenia jej atrakcyjności dla mężczyzn, usiłowała również ustalić, czy jest w niej jakiś element uległości, co przedstawiało największy problem. Panna Brodie była raczej dominującą obecnością niż kobietą w sensie fizycznym, jak aktorki Norma Shearer czy Elisabeth Bergner. Miała obecnie czterdzieści trzy lata i jej sylwetka, znacznie szczuplejsza niż w czasach gdy stała w klasie przed swoimi dziewczętami czy siedziała pod więzaniem, wyglądała znacznie przyjemniej, jakkolwiek wciąż jeszcze robiła wrażenie znacznie potężniejszej od pana Lowthera, który był drobny i niższy od niej. I który patrzył na pannę Brodie z miłością, podczas gdy ona patrzyła na niego surowo i władczo.

Pod koniec letniego okresu, kiedy już prawie wszystkie dziewczęta ze stadka panny Brodie pokończyły trzynaste lat, panna Brodie co tydzień wypytywała je parami o lekcje rysunków. Dziewczęta zawsze żywo interesowały się lekcjami Teddy Lloyda i wszystkim, co go dotyczyło, starając się zaobserwować jak najwięcej szczegółów, żeby rozmowa z panną Brodie wypadła jak najciekawiej, kiedy przyjdzie ich kolej odwiedzić ją u pana Lowthera w jego domu w Cramond.

Był to duży budynek ze spadzistym dachem zwieńczonym fantazyjną wieżyczką. Wyszadzana drzewami aleja

wiodąca do drogi tak się wiła i tyle miała zakrętów, a trawnik od frontu tak był wąski, że brakło perspektywy, której wymagały rozmiary domu, a żeby w ogóle dostrzec wieżyczkę, trzeba było zadziierać głowę do góry. Z tyłu dom był zupełnie zwyczajny; pokoje duże i ponure, z żaluzjami w oknach. Poręczce, zakończone na dole rzeźbami w kształcie lwich łbów, wiły się spiralnie do góry, jak okiem sięgnąć. Wszystkie meble były duże i rzeźbione, przeładowane ozdobami ze srebra i różowego szkła. Biblioteka na parterze, gdzie zwykle panna Brodie podejmowała dziewczęta, zastawiona była szklanymi szafami, w których panowały takie ciemności, że po to, by przeczytać tytuły książek, trzeba było wpatrywać się w nie z bliska. W jednym rogu na ukos stał fortepian, a na nim, w lecie, wazon z różami.

Dom ten krył w sobie rozległe możliwości badawcze i kiedy panna Brodie zajmowała się w kuchni przygotowywaniem niesamowitych ilości jedzenia na dzień następnny — było to w początkach jej obsesyjnej akcji odkarmiania pana Lowthera — dziewczęta mogły włóczyć się po nim do woli: wielkimi schodami szły na górę i z nabożną czcią zaglądały do przysypanych kurzem sypialni, a w szczególności do dwóch pokoiów, które zapomniano umeblować, jak należy — w jednym nie było bowiem nic poza wielkim biurkiem, nawet dywanu, a w drugim jedynie żarówka i ogromny błękitny dzban. W obu tych pomieszczeniach było lodowato niezależnie od pory roku. Kiedy wracały z tych ekspedycji, pan Lowther często czekał na nie w hallu, ze swoim nieśmiałym uśmiechem i złożonymi rękami, jakby wyrażał nadzieję, że są zadowolone. Zanim wyszły, wyjmował róże z wazonu i ofiarowywał im po jednej.

Tak na dobrą sprawę pan Lowther nigdy nie czuł się u siebie w tym własnym domu, w którym się urodził. Zanim cokolwiek dotknął czy otworzył kredens, spoglądał pytająco na pannę Brodie, jak gdyby nie wolno mu było nic zrobić bez pozwolenia. Dziewczęta doszły do wniosku, że pewnie jego matka, zmarła przed czterema laty,



trzymała go zawsze pod pantoflem, tak że nawet teraz nie mógł się poczuć panem tego domu.

W czasach kiedy panna Brodie rozpoczęła swoją akcję tuczenia pana Lowthera, która miała później przybrać tak potężne rozmiary, że stała się przedmiotem rozmów pańien Ellen i Alison Kerr, a co za tym idzie nauczycielek młodszych klas, pan Lowther siedział w milczeniu i z wdzięcznością patrzył, jak panna Brodie podejmuje te dwie spośród swoich dziewcząt, na które właśnie wypadła kolej. Pewnego dnia, kiedy kolej wypadła na Jenny i Sandy, panna Brodie dała panu Lowtherowi — tylko na podwieczorek — wspaniałą sałatkę z homara, kanapki z pastą z wątróbki, ciasto i herbatę, a na koniec miseczkę owsianki ze śmietanką. Wszystko to podała mu na osobnej tacy, żeby nie było wątpliwości, że przysługuje mu specjalna dieta. Sandy była bardzo ciekawa, czy pan Lowther da radę owsiance i tym innym rzeczom. Ale przebrnęła przez wszystko z biernym posłuszeństwem, podczas gdy ona pytała dziewczęta:

— Co robicie w tej chwili na lekcjach rysunków?

— Przygotowujemy się do konkursu na plakat.

— A jak się miewa pan Lloyd?

— Och, on jest bardzo fajny. Dwa tygodnie temu pokazał nam swoją pracownię.

— Jaką pracownię, gdzie? U siebie w domu? — Mimo że panna Brodie doskonale wiedziała.

— Tak, to jest takie wielkie, długie poddasze, to...

— Poznałyście jego żonę, jak ona wygląda? Co mówiła, poczęstowała was herbatą? A jakie są jego dzieci, coście tam robiły?...

Nie usiłowała nawet ukryć przed swoim przezuwającym gospodarzem zainteresowania osobą nauczyciela rysunków. Pan Lowther patrzył smutnie, ale jadł dalej. Sandy i Jenny wiedziały, że podobnymi pytaniami panna Brodie zadreślała Mary Macgregor i Eunice Gardiner w ubiegłym tygodniu, a Rose Stanley i Monikę Douglas przed dwoma tygodniami. Ale pannie Brodie nigdy nie było dość tej samej historii, jeżeli dotyczyła Teddy Lloyda, a teraz, kie-

dy dziewczęta odwiedziły jego dom — wielki, obdrapany, ciepły i nietypowy budynek w północnej części Edynburga — sam kontakt z osobami, które oddychały tym samym powietrzem co pan Lloyd, wprawiał pannę Brodie w stan szczytowego podniecenia.

— Ile dzieci? — spytała z uniesionym w górę imbryczkiem herbaty.

— Chyba pięcioro — odparła Sandy.

— Sześcioro — sprostowała Jenny — licząc tego malucha.

— Maluchów jest dużo — zauważyła Sandy.

— Jak zwykle u katolików — rzekła panna Brodie adresując tę uwagę do pana Lowthera.

— Ale to najmniejsze — upierała się Jenny. — Zapomniałaś policzyć tego bobasa. Z nim jest sześcioro.

Panna Brodie nalała herbatę i spojrzała na talerzyk pana Lowthera.

— Gordon — rzuciła — ciasto.

Potrząsnął głową i powiedział miękko, jakby ją chciał uspokoić:

— Och, nie, nie.

— Tak, Gordon. To samo zdrowie. — I zmusiła go do zjedzenia ciasta, przemawiając do niego w sposób odrobinę bardziej edynburski niż zwykle, aby również tą drogą wynagrodzić mu to, że swoją miłością obdarza pana Lloyda, a nie jego.

— Musisz przytyć, Gordon — powiedziała. — Musisz się poprawić o jakieś dwanaście kilo, zanim wyjadę na urlop.

Ze spuszczoną głową, wolno poruszając szczękami, uśmiechnął się, jak umiał najmilej, do wszystkich po kolei. A tymczasem panna Brodie podjęła:

— A pani Lloyd — jak myślicie? — czy przeżywa swoją pełnię?

— Chyba jeszcze nie — odparła Sandy.

— Pani Lloyd może to już mieć poza sobą — odezwała się Jenny. — Trudno powiedzieć, jak ktoś nosi takie długie włosy aż do ramion. Może przez to tylko młodziej wyglądać.



— Ona to wygląda tak, jakby nigdy nie miała przeżywać żadnej pełni.

— Słowo „to” jest w tym zdaniu zbędne, Sandy... Jak pani Lloyd ma na imię?

— Deirdre — odparła Jenny, a panna Brodie zastanowiła się nad tym imieniem, jakby było dla niej czymś zupełnie nowym, chociaż słyszała je już w ubiegłym tygodniu od Mary i Eunice, a dwa tygodnie temu od Rose i Moniki, podobnie zresztą jak i pan Lowther. Za oknami na liście pana Lowthera zaczął padać drobny deszczyk.

— Celtyckie — oświadczyła.

Sandy kręciła się przy drzwiach kuchennych, czekając na pannę Brodie, z którą wybierały się na spacer nad morze. Panna Brodie przygotowywała ogromną szynkę, którą następnie włożyła do wielkiego gara. Jej nowa kulinarna pasja w niczym nie umniejszyła jej godności, wszystko bowiem, co robiła dla Gordona Lowthera, było potężne — czy to rodzinne porcje legumin, które miały mu wystarczyć na tydzień, pieczenie wołowe lub jagnięce, czy cały ogromny łosoś o złym oku.

— Muszę to przygotować panu Lowtherowi na kolację — powiedziała — i dopilnować, żeby ją zjadł, zanim wyjdę.

Zawsze stwarzała pozory, że na noc wraca do siebie, zostawiając pana Lowthera samego w jego wielkim domu. Jak dotąd dziewczęta nie znalazły żadnych dowodów świadczących o tym, że jest odwrotnie, i zresztą nigdy nie miały ich znaleźć; trochę później jednakże panna Gnat przyprowadziła pannę Ellen Kerr do dyrektorki, żeby zaświadczyła, że pod poduszką małżeńskiego łóża, na którym sypiał pan Lowther, znalazła nocną koszulę panny Brodie. Znalazła ją zmieniając bieliznę pościelową — leżała równiutko złożona pod poduszką od ściany.

— A skąd pani wie, że to koszula panny Brodie? — zapytała panna Mackay, kobieta bystra, która czuła, że ofiara już wpada w potrzask, ale jeszcze może się wymknąć. Stała z ręką na oparciu krzesła, podana do przodu i cała zamieniona w słuch.

— Trzeba umieć logicznie myśleć — rzekła panna Gnat.

— Ja pytałam pannę Ellen.

— Właśnie, trzeba umieć logicznie myśleć — powtórzyła panna Ellen, ze szczupłą twarzą, pokrytą czerwonymi żyłkami, która teraz błyszczała ze wzburzenia. — Ta koszula była krepdeszynowa.

— To żaden dowód — odrzekła panna Mackay siadając przy biurku. — Proszę się do mnie zgłosić, jak będzie pani miała dowód niezbity. Co pani zrobiła z tą koszulą? Pokazała ją pani pannie Brodie?

— Ależ skąd — odparła panna Ellen.

— Powinna była pani jej to pokazać. Trzeba było powiedzieć: „Pozwoli pani na chwilę, czy mogłaby mi pani to wyjaśnić?” Tak powinna była pani powiedzieć. Czy ta koszula jest tam w dalszym ciągu?

— Nie, już jej nie ma.

— Co za bezwstyd — podsumowała panna Gnat.

Wszystkiego tego dowiedziała się Sandy od samej dyrektorki w odpowiednim czasie; patrzyła na nią z niesmakiem swoimi małymi oczkami i omijając dość brutalne pytanie, które zadała jej ta kobieta o pospolitej twarzy, rozważała różne inne możliwości zdradzenia panny Brodie.

„Muszę koniecznie przygotować temu biedakowi jedzenie, zanim pójdę do domu” — powiedziała panna Brodie w lecie tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, gdy Sandy, której nogi rwały się, by pobiegać po plaży, stała wsparta o kuchenne drzwi. Potem przyszła Jenny i razem czekały na pannę Brodie, przyglądając się spiętrzonemu na ogromnym kuchennym stole prowiantom, stanowiącym efekt porannych zakupów. Na stole w jadalni stały patery owoców, a na nich pudełka daktyli, jakby to było Boże Narodzenie, a kuchnia należała do hotelu przygotowującego świąteczne menu.

— Czy pan Lowther nie dostanie od tego wszystkiego zatwardzenia? — zagadnęła Sandy.

— Nie, jeżeli będzie jadł dużo zieleniny — odparła Jenny.

Podczas gdy dziewczęta czekały, aż panna Brodie ustroi



wielką szynkę, jak heroinę, którą rzeczywiście była, doszły je z biblioteki dźwięki fortepianu i głos pana Lowthera, który śpiewał wolno i smutno:

Oto mieszkańcy ziemi całej  
Śpiewają Panu wśród radości.  
I ty przyjdź głosić Jego chwałę,  
Przyjdź służyć Mu do Jego włości.

Pan Lowther prowadził chór i był członkiem rady kościelnej, a wszystko to miało miejsce, zanim jeszcze znaleziono nocną koszulę pod poduszką w jego łóżku i pastor, brat panny Gnat, doradził mu zrezygnować z tych funkcji.

W tej chwili, postawiwszy szynkę na niewielkim gazie, pod przykrywką, panna Brodie wpadła swoim głębokim kontraltem w tony psalmu, który nabrał życia:

O, chwalcę Pana wejdź w Jego bramy,  
Pełen wesela zbliż się do Niego.

Deszcz ustał i w słonym powietrzu pozostała już tylko wilgotna zawiesina. Przez cały spacer plażą, przekrzykując szum fal, panna Brodie wypytywała dziewczęta o wizyty w domu Teddy Lloyd'a, jaką herbatą je poczęstowano, czy duża i jak oświetlona jest jego pracownia i o czym się mówiło.

— Wyglądał bardzo romantycznie w tej swojej pracowni — powiedziała Sandy.

— Dlaczego romantycznie?

— Myślę, że to z powodu tej jednej ręki — powiedziała Jenny.

— Zawsze miał przecież jedną rękę.

— Ale używał jej więcej niż zwykle — odparła Sandy.

— Wymachiwał nią — dodała Jenny. — Z okna jego pracowni jest cudowny widok. I on jest z niego bardzo dumny.

— Pracownia jest chyba na strychu, prawda?

— Tak, zajmuje całe poddasze. Wisi tam nowy portret rodzinny w wykonaniu pana Lloyd'a; jest dość zabawny.

Na pierwszym planie pan Lloyd, bardzo wysoki, potem jego żona. A potem wszystkie dzieci od największego do najmniejszego, które siedzi na podłodze, co tworzy ukośną linię przez całe płótno.

— A co w tym jest zabawnego? — spytała panna Brodie.

— Wszyscy są *en face* i mają bardzo poważne miny — odparła Sandy. — Ten obraz specjalnie ma rozśmieszać.

Panna Brodie uśmieła się z tego. Na odległym niebie widać było cudowny zachód słońca, który odbijał się w krwawych falach, wzdętych groźną purpurą i złotem, jak gdyby koniec świata nadszedł nie zakłócając codziennego życia.

— I jest drugi portret — oznajmiła Jenny. — Jeszcze nie skończony, Rose.

— On malował Rose?

— Tak.

— I Rose mu pozowała?

— Tak, chyba przez miesiąc.

Panna Brodie była wyraźnie podniecona.

— Rose nic mi o tym nie mówiła.

Sandy zająknęła się.

— Och, zupełnie zapomniałam. To miała być niespodzianka. Pani o niczym nie wie.

— O portrecie? A czy ja mam go zobaczyć?

Sandy była zmieszana, bo nie wiedziała, w jakim sensie, według Rose, ten portret miał być niespodzianką dla panny Brodie.

Jenny powiedziała:

— Nie, bo to tylko fakt, że ona pozuje, miał być dla pani niespodzianką. — Sandy zrozumiała wtedy, jak bardzo było to słuszne.

— Ach — rzekła panna Brodie z zachwyconą miną — to bardzo rozsądnie z jej strony.

Sandy poczuła się zazdrosna, ponieważ Rose nie powinna być rozsądna.

— W co jest ubrana do tego pozowania? — zapytała panna Brodie.



— W tunikę gimnastyczną — odparła Sandy.

— Siedzi bokiem — dodała Jenny.

— Profilem — sprostowała panna Brodie.

Zatrzymała jakiegoś mężczyznę, kupiła od niego homara dla pana Lowthera, po czym powiedziała:

— Rose jeszcze nieraz będzie malowana. Może jeszcze w przyszłości pozować panu Lloydowi, ona jest rzeczywiście *crème de la crème*.

Zostało to powiedziane w tonie sondującym. I dziewczęta zorientowały się, że panna Brodie za wszelką cenę z ich luźnych uwag usiłuje stworzyć sobie obraz całości.

Jenny rzuciła więc mimochodem:

— O tak, pan Lloyd ma zamiar malować Rose w czerwonym aksamicie.

A Sandy dodała:

— Pani Lloyd ma taką narzutkę z czerwonego aksamitu i przymierzali ją Rose.

— Czy jeszcze się tam wybieracie? — spytała panna Brodie.

— Owszem, i to wszystkie razem — wyjaśniła Sandy. — Pan Lloyd uważa nas za bardzo sympatyczne stadko.

— Czy nie widzicie w tym nic znamienego — rzekła panna Brodie — że to właśnie was sześć pan Lloyd zaprosił do swojej pracowni?

— No, bo my jesteśmy stadkiem — odparła Jenny.

— Czy zapraszał jeszcze jakieś inne dziewczęta ze szkoły? — Panna Brodie z góry знаła odpowiedź.

— Ależ skąd, tylko nas.

— To dlatego, że wy należycie do mnie — oznajmiła. — Zostałyście przeze mnie urobione, a ja przeżywam pełnię.

Sandy i Jenny nie zastanawiały się specjalnie, dlaczego pan Lloyd zaprasza je jako grupę. Ale istotnie jego stosunek do dziewcząt panny Brodie był szczególny. Kryła się w tym jakaś tajemnica do rozgryzienia, nie ulegało jednak wątpliwości, że myśląc o nich myślał o panie Brodie.

— On zawsze o panią pyta — powiedziała Sandy — jak tylko nas zobaczy.

— Tak, mówiła mi o tym Rose — odparła panna Brodie.

Nagle, jak na komendę, niby przelotne ptaki, Sandy i Jenny zerwały się do lotu. Ruszyły kamienistą plażą bez uprzedzenia, chłonąc przesycone zachodem słońca powietrze, by po chwili wrócić do panny Brodie i słuchać o jej nadchodzącym urlopie, kiedy to pozostawi utuczony już pana Lowthera na pastwę panien Kerr, a sama wyjedzie za granicę, nie do Włoch tym razem, tylko do Niemiec, gdzie Hitler został właśnie kanclerzem, czymś w rodzaju proroka jak Thomas Carlyle, ale bardziej godnym zaufania niż Mussolini; niemieckie brunatne koszule, powiedziała, to dokładnie to samo co włoskie czarne, tylko bardziej godne zaufania.

Jenny i Sandy wybierały się na wieś, gdzie, prawdę powiedziawszy, po upływie pierwszych dwóch tygodni imię panny Brodie nieczęsto gościło na ich ustach, a postać we wspomnieniach, gdzie natomiast zajmowały się zbiorem siana i pasieniem owiec. W ciągu roku trudno było sobie wyobrazić, że świat panny Brodie, jak również szkolne świąty Holyrood, Melrose, Argyll i Biggar mogą tak szybko pójść w zapomnienie.

— Ciekawe, czy panu Lowtherowi smakowałyby nerkówka z ryżem — zastanawiała się panna Brodie.

## ROZDZIAŁ V

— Ojej, ależ ona jest podobna do panny Brodie! — powiedziała Sandy. — Straszliwie podobna. — Ale po chwili, widząc, że te słowa po wyjściu z jej ust, a przed dotarciem do uszu państwa Lloyd nabierają znaczenia, dodała: — Chociaż oczywiście to jest Rose, tak, jest bardziej podobna do Rose, straszliwie jest podobna do Rose.

Teddy Lloyd przestawił nowy portret tak, żeby światło padało inaczej. W dalszym ciągu przypominał pannę Brodie.



Deirdre Lloyd powiedziała:

— Nie miałam okazji poznać panny Brodie. Czy ona jest blondynką?

— Nie — odparł Teddy Lloyd swym ochryłym głosem. — Jest ciemna.

Sandy widziała, że osoba na portrecie ma włosy blond, tak, był to na pewno portret Rose. Rose siedziała przy oknie w stroju gimnastycznym, zwrócona profilem, z dłońmi złożonymi po jednej na każdym kolanie. W czym tkwiło podobieństwo do panny Brodie? Może właśnie w profilu, może w czole, a może w spojrzeniu błękitnych oczu Rose, tak przypominającym władcze spojrzenie piwnych oczu panny Brodie. Portret bardzo przypominał pannę Brodie.

— Rzeczywiście, że to Rose — powiedziała Sandy, a Deirdre Lloyd popatrzyła na nią.

— Podoba ci się ten obraz? — zapytał Teddy Lloyd.

— Tak, jest śliczny.

— To najważniejsze.

Podczas gdy Sandy nie przestawała małymi oczkami przyglądać się portretowi, Teddy Lloyd niedbale machnięciem swojej jedynej ręki zaciągnął na niego kawałek płótna.

Deirdre Lloyd była pierwszą kobietą ubierającą się na wieśniaczkę, jaką Sandy знаła, a ten styl miał być modny przez najbliższe trzydzieści albo i więcej lat. Nosiła dość długą marszczoną ciemną spódnicę, jaskrawo zieloną bluzkę z podwiniętymi rękawami, duże malowane korale z drewna i cygańskie kolczyki. W talii miała szeroki jaskrawoczerwony pasek. Do tego zakładała ciemnobrązowe pończochy i ciemnozielone zamszowe sandały. Płótna przedstawiające Deirdre w tym i w wielu innych strojach podobnego typu zdobiły różne części pracowni. Pani Lloyd miała uroczy głos, zbliżony do śmiechu. Powiedziała:

— Mamy nowy portret Rose. Teddy, pokaż Sandy nowy portret Rose.

— W tym stadium nie bardzo jest co oglądać.

— A co z *Czerwonym aksamitem*? Pokaż Sandy ten; Teddy namalował w lecie bardzo piękny portret Rose, do pozowania narzuciliśmy jej na ramiona czerwony aksamit i dlatego tak nazwaliśmy ten obraz.

Teddy Lloyd wyciągnął płótno zza kilku innych. Ustawił je w świetle na sztalugach. Sandy przyjrzała mu się swoimi oczkami, tak małymi, że aż dziwne, jak można było zaufać ich świadectwu.

Portret bardzo przypominał pannę Brodie. Sandy powiedziała:

— Podoba mi się w kolorycie.

— Czy przypomina pannę Brodie? — spytała Deirdre Lloyd swoim głosem zbliżonym do śmiechu.

— Panna Brodie jest kobietą w sile wieku — rzekła Sandy. — Ale jak już pani o tym wspomniała, to rzeczywiście jest podobieństwo.

Deirdre Lloyd odparła:

— Wtedy Rose miała zaledwie czternaście lat; wygląda tu bardzo poważnie, ale ona jest bardzo poważna.

Czerwony aksamit tak został udrapowany, że osiągnięto równocześnie dwa efekty: Rose wyglądała tak, jakby miała tylko jedną rękę, jak sam artysta, a poza tym jej pierś wydawała się znacznie pełniejsza nawet niż teraz, kiedy Rose miała lat piętnaście. Poza tym obraz przypominał pannę Brodie i na tym polegała cała tajemnica. Rose miała buzię bladą, o wydatnych kościach; panna Brodie miała twarz drobną o dużych oczach, nosie i ustach. Trudno powiedzieć, jak Teddy Lloyd zdołał nałożyć tę śniadą rzymską twarz panny Brodie na jasną twarz Rose — dość że to potrafił.

Sandy znów rzuciła okiem na inne ostatnio malowane portrety w studio pana Lloyd'a — jego żony, dzieci, jakichś nieznanymi osób — ale żaden nie przypominał panny Brodie.

W pewnej chwili dostrzegła leżący na stercie szkiców rysunek. Przedstawiał pannę Brodie opartą o latarnię na Lawnmarket, otuloną w szal, jaki nosiły robotnice; po bliższym przyjrzeniu się Sandy stwierdziła, że to Monika



Douglas, z wystającymi kośćmi policzkowymi i długim nosem. Powiedziała:

— Nie wiedziałam, że Monika panu pozowała.

— Zrobiłem jeden czy dwa wstępne szkice. Czy nie sądzisz, że to tło jest bardzo dla niej odpowiednie? A tutaj jest Eunice w swoim stroju arlekina, uważam, że bardzo jej w tym do twarzy.

Sandy była poruszona. Żadna z tych dziewcząt — ani Monika, ani Eunice — nie przyznała się przed resztą do tego, że ją pan Lloyd rysuje. Ale teraz, kiedy miały po piętnaście lat, wielu rzeczy sobie nie mówiły. Sandy przyjrzała się bliżej rysunkowi przedstawiającemu Eunice.

Eunice występowała w stroju arlekina na popisie szkolnym. Mała, zreźna, o ostrych rysach — też przypominała pannę Brodie. Pośród wielu swoich odkryć Sandy zrobiła jeszcze jedno: była zafascynowana oszczędnością metody Teddy Lloyda, tak jak przed czterema laty różnorodnością wersji sercowych perypetii panny Brodie, z jej wojennym wielbicielem w roli bohatera, obdarzonym cechami obu nauczycieli — rysunków i śpiewu — którzy właśnie znaleźli się w jej orbicie. Metoda zastosowana przez Teddy Lloyda była zbliżona, była ekonomiczna i zawsze w przeszłości Sandy uważała, że tam gdzie można obrać jeden z wielu sposobów postępowania, najwłaściwszy jest zawsze ten najbardziej ekonomiczny, a więc pozwalający na jak najlepsze i najpełniejsze wykorzystanie wszystkich atutów jednocześnie. I tej zasady trzymała się ściśle, kiedy nadzedeł czas, by zdradziła pannę Brodie.

Jenny nie powiodły się końcowe egzaminy i ostatnio przesiadywała głównie w domu nad książkami. Sandy czuła definitywnie, że one wszystkie, nie mówiąc już o samej pannie Brodie, idą każda w swoją stronę. Może nawet uważała za wskazane rozpadnięcie się ich stadka.

Gdzieś na dole jedno z dzieci państwa Lloydów zaczęło się drzeć, po nim drugie, wreszcie cały chór. Deirdre Lloyd z szerokim zamachem ludowej spódnicy zniknęła, żeby dojrzeć swojej gromadki. Lloydowie byli katolikami, co ich zmusiło do takiej ilości dzieci.

— Kiedyś — powiedział Teddy Lloyd demonstrując Sandy swoje rysunki, zanim zeszli na herbatę — chciałbym sportretować każdą z was pojedynczo, a potem całe stadko panny Brodie razem. — Szarpnął głową do tyłu, żeby odrzucić wpadający mu do oka złocisty lok. — To by było ciekawe: namalować was razem — rzekł — i zobaczyć, jaki by z tego wyszedł portret zbiorowy.

Sandy pomyślała, że może to być z jego strony próba scalenia stadka kosztem ich ledwie zaczynających się zarysowywać indywidualności. I z właściwym sobie ostatnio nagłym rozdrażnieniem odparła:

— Myślę, że wyglądałybyśmy jak jedna wielka panna Brodie.

Pan Lloyd roześmiał się serdecznie i przyjrzał jej się bliżej, jakby ją widział po raz pierwszy. Odpowiedziała mu równie badawczym spojrzeniem swoich maleńkich oczu, szantażując go bezczelnie zawartą w nich wiedzą. Po czym pan Lloyd wycisnął na jej ustach długi, mokry pocałunek, a następnie powiedział ochryplym głosem:

— To cię nauczy patrzeć na artystę we właściwy sposób.

Sandy rzuciła się do drzwi starannie wycierając usta wierzchem dłoni, ale nauczyciel rysunków złapał ją swoją jedyną ręką i powiedział:

— Nie masz powodu uciekać. Jesteś chyba najpaskudniejszym stworzeniem, jakie spotkałem w życiu. — Z tymi słowami wyszedł i zostawił w pracowni ogłupiałą Sandy, która chcąc nie chcąc musiała zejść za nim na dół. Z saloniku dobiegł głos Deirdre Lloyd:

— Tutaj, Sandy.

Przez cały podwieczorek Sandy usiłowała uporządkować swoje pierwsze wrażenia, co nie było łatwe z powodu dzieci, które ciągle czegoś chciały od gościa. Najstarszy chłopiec, ośmiolatek, nastawił radio i przy akompaniamencie orkiestry Henry Halla z przesadnie angielskim akcentem śpiewał *Graj, Cyganie*. Pozostała trójka hałasowała na różne sposoby, a pośród tego zgłupiałą Deirdre Lloyd prosiła Sandy, żeby mówiła do niej raczej „Deirdre”



niż „pani Lloyd”. Tak więc Sandy praktycznie nie miała okazji zorientować się, jakie uczucia wzbudził w niej pocałunek Teddy Lloyda i jego słowa, i zdecydować, czy jest obrażona, czy nie. Właśnie w tej chwili oświadczył bezwstydnie:

— A mnie możesz mówić Teddy poza szkołą. — Między sobą dziewczęta i tak nazywały go Teddy Pacykarz. Sandy spoglądała to na jedno, to na drugie z małżonków Lloyd.

— Tyle słyszałam od dziewcząt o pannie Brodie — powiedziała Deirdre. — Koniecznie muszę ją zaprosić na herbatę. Myślisz, że by przyszła?

— Nie — odparł Teddy.

— Dlaczego? — zapytała Deirdre, nie dlatego, żeby miało to dla niej jakiegoś szczególne znaczenie; była tak flegmatyczna i długoręka, że biorąc ze stołu talerzyk z kruchymi ciasteczkami, by wszystkich poczęstować, nawet się nie ruszyła z niskiego stołka, na którym siedziała.

— Dzieci, jeżeli się nie uspokoicie, wyjdziecie stąd natychmiast — oznajmił Teddy.

— Przyrowadź kiedy pannę Brodie — zwróciła się Deirdre do Sandy.

— Ona nie przyjdzie — powtórzył Teddy — prawda, Sandy?

— Ona jest strasznie zajęta — rzekła Sandy.

— Daj mi papierosa — poprosiła Deirdre.

— Czy ona w dalszym ciągu dogląda Lowthera? — spytał Teddy.

— Tak, owszem, to znaczy... trochę.

— Lowther — rzekł Teddy machnąwszy swoją jedyną ręką — musi mieć szczęście do kobiet. Połowa pań z naszej szkoły się nim zajmuje. Dlaczego nie weźmie sobie gospodyni? Ma kupę pieniędzy, nie jest żonaty, nie ma dzieci, nie płaci komornego; to jest przecież jego własny dom. Dlaczego nie weźmie sobie jakiejś przyzwoitej gospodyni?

— Myślę, że lubi pannę Brodie — powiedziała Sandy.

— Ale co ona takiego w nim widzi?

— On jej śpiewa — rzekła Sandy nieoczekiwanie uszczypliwie.

Deirdre roześmiała się.

— Muszę powiedzieć, że panna Brodie robi wrażenie dość dziwnej osoby. Ile ona ma lat?

— Jean Brodie — odparł Teddy — to wspinała kobieta w pełni swego życia. — Wstał odrzucając lok z czoła i wyszedł z pokoju.

Deirdre wypuściła w zadumie obłoczek dymu i zduśiła papierosa, a Sandy oświadczyła, że już musi iść.

W ciągu ostatnich dwóch lat pan Lowther przysporzył pannie Brodie niemało zmartwienia. Były chwile, kiedy wydawało się, że zamierza poślubić pannę Alison Kerr, to znów że skłania się ku pannie Ellen, cały czas kochając się przy tym w pannie Brodie, która odmawiała mu wszystkiego poza dzieleniem z nim łoża i aprowidowaniem go.

Obrzydło mu już nadmierne jedzenie, od którego tył, robił się ociężały i tracił możliwości wokalne. Pragnął żony, z którą mógłby grywać w golfa i której mógłby śpiewać. Marzył mu się miesiąc miodowy na Hebrydach, na wyspie Eigg, w pobliżu Rum, a potem powrót do Cra-  
mond ze świeżo poślubioną żoną.

I właśnie pośród tych rozterek Ellen Kerr musiała znaleźć wytworną damską koszulę zwiniętą pod poduszką w wielkim łożu pana Lowthera, na którym na domiar złego jeszcze się urodził.

Ale mimo wszystko panna Brodie go nie chciała. Straciwszy swoją pozycję kierownika chóru i członka rady kościelnej popadł w melancholię i dziewczęta uznały, że panu Lowtherowi coraz częściej przychodzi do głowy, czy przypadkiem panna Brodie nie ma dość jego krótkich nóg i czy nie tęskni za długimi pana Lloyda.

Większość tych rzeczy panna Brodie dała dziewczętom do zrozumienia okrężną drogą, w okresie kiedy dorastały: między trzynastym a czternastym i czternastym a pię-



nastym rokiem życia. Ale nawet okrężną drogą nie dała im do zrozumienia, że śpi z nauczycielem śpiewu, ponieważ ciągle jeszcze poddawała je próbie mającej na celu ustalenie, której może zaufać, jak by to ona określiła. Nie chciała, żeby rodzice powzięli jakieś podejrzenia. Panna Brodie zawsze bardzo dbała o to, żeby na rodzicach swoich dziewcząt robić dobre wrażenie, by zyskać ich aprobatę i wdzięczność. Tak więc zwierzała się swoim pupilkom tylko z tego, co uważała w danej chwili za stosowne, i prawdę powiedziawszy, wypatrywała właśnie wśród nich tej, w której mogłaby pokładać pełne zaufanie, której ciekawość byłaby większa niż potrzeba wywołania sensacji i która pragnąc zapewnić sobie jej dalsze zwierzenia zachowywałaby wszystko w tajemnicy. Z konieczności musiała to być tylko jedna z dziewcząt — dwie byłyby już niebezpieczne. Prawie bezbłędnie panna Brodie postawiła na Sandy, ale nawet wtedy nie mówiła z nią o własnych sprawach.

Z okazji Srebrnego Jubileuszu latem tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku wszystkie uczennice obowiązane były nosić w klapach blezerów rozetki z czerwono-biało-niebieskiej wstążeczki. Rose Stanley zgubiła swoją i orzekła, że musiała ją zostawić w pracowni Teddy Lloyd'a. Było to wkrótce po wizycie Sandy w jego domu.

— Co masz zamiar robić podczas wakacji, Rose? — spytała panna Brodie.

— Na dwa tygodnie jadę z ojcem w góry, a potem to nie wiem. Pewnie będę od czasu do czasu pozowała panu Lloydowi.

— Dobrze — rzekła panna Brodie.

Panna Brodie zaczęła się zwierzać Sandy po wakacjach. Wczesną jesienią w piękne słoneczne dni grywały po lekcjach w golfa.

— Wszystkie moje nadzieje — powiedziała — pokładam w tobie i w Rose. Nie powiecie o tym oczywiście innym dziewczętom, boby to wywołało zawiść. Liczyłam na Jen-

ny, ona jest taka ładna, ale Jenny zrobiła się nudna, nie uważasz?

Pytanie było bardzo celne, ponieważ formułowało wniosek, do którego Sandy zaczynała właśnie sama dochodzić. W tym roku poczuła się znudzona towarzystwem Jenny i osamotniona.

— Nie uważasz? — zapytała panna Brodie, stojąc nad Sandy, która właśnie wybijała piłkę z dołka. Sandy machnęła kijem i powiedziała:

— Owszem, trochę. — Piłka poleciała do tyłu zataczając niepełny łuk.

— Liczyłam też na Eunice — ciągnęła panna Brodie — ale jej, zdaje się, zawrócił w głowie ten chłopak, z którym chodzi pływać.

Sandy nie zdołała jeszcze wybić piłki z dołka. Czasem, kiedy panna Brodie miała natchnienie, trudno się było połapać, o co jej chodzi. Trzeba było czekać i patrzeć, aż coś wyniknie z jej słów, jak się rozwinie sytuacja. Tymczasem Sandy spojrzała na pannę Brodie, która stała właśnie na wzniesieniu nad dołkiem, znajdującym się w najwyższym punkcie pagórkowatego pola golfowego. Wyglądała wspaniale w swoim wrzosowym kostiumie, ze świeżą jeszcze egipską opalenizną, która ożywiała jej cerę. Mówiąc ogarniała wzrokiem Edynburg.

Sandy wybiła piłkę z dołka.

— Eunice — powiedziała panna Brodie — usatkuje się i wyjdzie za mąż za jakiegoś dobrze sytuowanego człowieka. Myślę, że wiele mi zawdzięcza. Mary, no cóż — Mary. Niczego się po niej nie spodziewałam. Jak byłyście zupełnie małe, myślałam, że może coś z niej wyrośnie. Była dość patetyczna. Ale w rezultacie jest tylko irytująca; wolę mieć do czynienia z łajdakiem niż z głupcem. Monika oczywiście wspaniale skończy studia, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, ale jej brak intuicji, duchowej mądrości, i oczywiście dlatego...

Teraz był ruch panny Brodie, która postanowiła milczeć, dopóki nie odmierzy odległości i nie uderzy piłki.

— ...oczywiście dlatego miewa takie napady złości, ona



nie rozumie nic poza znakami, symbolami i rachunkami. Nic tak źle nie wpływa na usposobienie człowieka jak brak duchowej mądrości, Sandy, dlatego mahometanie są tacy pogodni, bo mają wiele mądrości duchowej. Mój przewodnik w Egipcie nie przyjmował do wiadomości, że tylko piątek ma być ich Dniem Pańskim. „Każdy dzień jest Dniem Pańskim” — mówił. Uważam, że to bardzo głębokie, poczułam się zawstydzona. Pożegnaliśmy się na dzień przed moim wyjazdem, ale kiedy już siedziałam w pociągu, patrzę — a tu na peronie zjawia się mój przewodnik z bukietem pięknych kwiatów dla mnie. Miał wiele prawdziwej godności. Sandy, jak będziesz się tak garbiła nad kijem, to nic z tego nie wyjdzie. Wyprostuj ramiona i zegnij się w pasie. To był naprawdę wspaniały człowiek i potrafił się znaleźć.

Podniosły każda swoją piłkę i przeszły do następnego stanowiska.

— Czy grała pani kiedyś z panną Lockhart? — spytała Sandy.

— A ona w ogóle gra w golfa?

— Owszem, i to dobrze. — Sandy ku swojemu zdumieniu zobaczyła któregoś sobotniego ranka nauczycielkę chemii grającą w golfa z Gordonem Lowtherem.

— Dobry strzał, Sandy. Niewiele wiem o panie Lockhart, zostawiam ją jej słojom i palnikom. Wszystkie te nauczycielki ze szkoły średniej to prymitywne materialistki, należą do Stowarzyszenia Fabianów i są pacyfistkami. Z tym właśnie musimy ustawicznie walczyć — pan Lowther, pan Lloyd i ja — wtedy kiedy nie musimy akurat walczyć z tą ograniczoną, ciemną masą nauczycieli ze szkoły podstawowej. Sandy, ty tak mrużysz oczy, jak patrzysz na ludzi, że masz na pewno krótki wzrok. Powinnaś nosić okulary.

— Nic podobnego — odparła Sandy ze złością — to się tylko tak wydaje.

— To jest deprymujące — powiedziała panna Brodie. — Sandy, czy wiesz, kochanie, że wszystkie nadzieje pokładam w tobie i w Rose? Ty masz intuicję, tę mądrość, może

niezupełnie duchową, ale ty, Sandy, jesteś chytra sztuka, a Rose ma instynkt, Rose ma instynkt.

— Może niezupełnie duchowy — dodała Sandy.

— Tak jest, masz rację. Ona dzięki temu instynktowi ma zapewnioną przyszłość.

— Ona ma instynkt do pozowania — powiedziała Sandy.

— Właśnie to miałam na myśli mówiąc o twojej intuicji. Powinnaś wiedzieć, bo w pełni życia jestem obdarzona jednym i drugim — i instynktem, i intuicją.

Aby móc pełniej przeżywać swoje stany duchowe, Sandy potrafiła stać przed katedrą Św. Idziego z Tolbooth i kontemplować symbole mrocznego i groźnego zbawienia, przy których ognie piekielne wydawały się przez kontrast wesole i bardziej pożądane. Nikt z jej otoczenia — ani w szkole, ani w domu — nie wyrażał się o kalwinizmie inaczej jak o żarcie, który kiedyś potraktowano serio. Nie rozumiała jeszcze wtedy, że jej środowisko nie było na pozór charakterystyczne dla Edynburga, tak jak środowisko klas społecznych wyżej od niego stojących czy — może nawet bardziej — tych niższych. Pojęcie klasy społecznej było jej wtedy całkowicie obce. Jeśli chodzi o formy zewnętrzne, owe piętnaście lat jej życia mogło równie dobrze upłynąć na jakimkolwiek przedmieściu jakiegokolwiek miasta Wysp Brytyjskich; jej szkoła, z nietypowym dla Szkocji podziałem na zespoły, mogła się równie dobrze znajdować na Ealingu. Wtedy zdawała sobie sprawę jedynie z tego, że jakiś nurt życia specyficzny dla Edynburga, i tylko dla Edynburga, toczy się poza nią i niezależnie od tego, jak bardzo mógł być dla niej nieodpowiedni, czuła się go pozbawiona; jakkolwiek mógł być nieodpowiedni, pragnęła go poznać i przełamać bariery ochronne, jakimi otoczyli ją światli ludzie.

W gruncie rzeczy Sandy czuła się pozbawiona religii Kalwina czy może raczej jej definitywnego uznania. Domagała się jako naturalnego prawa możliwości odrzucenia czegoś określonego. To skryte pragnienie całkowicie nią zawładnęło. W pewnym sensie najbardziej rzetelnymi



i uczciwymi w jej otoczeniu osobami były panna Gnat i siostry Kerr, które wierząc, że Bóg praktycznie każdemu jeszcze przed jego urodzeniem zgotował paskudną niespodziankę na po śmierci, nie udawały, że jest inaczej. Później, kiedy Sandy studiowała Kalwina, doszła do wniosku, że choć pewne popularne koncepcje kalwinizmu były błędne, nie dotyczyło to przynajmniej tej jednej: że Bóg dla swojej przyjemności obdarzył pewnych ludzi zwodniczą nadzieją szczęścia i zbawienia po to jedynie, by oczekująca ich niespodzianka była tym straszliwsza.

Sandy nie potrafiła sformułować tych pasjonujących tez, niemniej odkrywała je w powietrzu, którym oddychała, wyczuwała je w dziwnie wyzywającym sposobie łamania świąt przez ludzi z jej otoczenia i wietrzyła je w wybrykach panny Brodie przeżywającej swoją pełnię. Teraz, kiedy już mogła sama swobodnie poruszać się po mieście, odwiedzała te niewątpliwie zakazane dzielnice Edynburga, przyglądając się poczerńiałym pomnikom, słuchając niewiarygodnych przekleństw pijanych mężczyzn i kobiet i porównując ich twarze z twarzami ludzi z Morningside i Merchisten, do których była przyzwyczajona, stwierdzała z nowym, podniecającym kalwinistycznym poczuciem winy, że niewiele się między sobą różniły.

Sandy zaczęła niejasno przeczuwać posunięcia panny Brodie, która pasowała sobie na męczennicę w sposób tak szczególny, że znacznie bardziej egzotyczną pasją samobójczą, niż gdyby zaczęła po prostu pić jak inne stare panny, którym obrzydło już staropanieństwo.

Nie ulegało wątpliwości, że panna Brodie zmierza do tego, by Rose, ze swoim instynktem, zaczęła się przygotowywać do roli kochanki Teddy Lloyd'a, a Sandy, ze swoją intuicją, do roli donosicielki. I w tym właśnie celu Sandy i Rose zostały wybrane jako *crème de la crème*. Wokół całego tego planu unosił się lekki zapaszek siarki, co bardzo fascynowało Sandy w jej obecnym stanie ducha. Ostatecznie był to tylko plan; nic pilnego. Panna Brodie realizując swoje zamierzenia nie lubiła się śpieszyć, główną przyjemność czerpała z przygotowań, a ponadto, jeśli na-

wet te plany rysowały się w jej wyobraźni równie przejrzysto jak w wyobraźni Sandy, dziewczęta były jeszcze za młode. Co nie przeszkadzało, że gdy miały po szesnastu lat, panna Brodie powiedziała do swojego stadka w komplecie:

— Sandy byłaby świetnym asem wywiadu, doskonałym szpiegiem — zaś do samej już Sandy: — Rose będzie kiedyś wspaniałą kochanką. Jej nie obowiązuje zwykły kodeks moralny. Ona jest wyższa ponad to. Takie rzeczy przeznaczone są do wiadomości jedynie osób obdarzonych intuicją.

Przez rok z górą Sandy działała zgodnie z tym planem, odwiedzając często Lloydów i donosząc pannie Brodie, jak się mają sprawy z portretami Rose, które tak ją przypominały.

— Rose — powiedziała panna Brodie — jest jak bohaterka powieści D. H. Lawrence'a. Ona ma instynkt.

W istocie jednak zainteresowanie nauczyciela rysunków osobą Rose miało charakter czysto profesjonalny; była po prostu dobrą modelką. A Rose miała wystarczający instynkt, by się zadowolić tą rolą, i w końcu to Sandy spała z Teddy Lloydem, a Rose była tą, która o tym doniosła.

Wiele jednak miało jeszcze upłynąć wody, zanim do tego doszło, a tymczasem panna Brodie, zaniedbując pana Lowthera i Cramond, spędzała cały wolny czas w towarzystwie Rose i Sandy; dyskutowała z nimi o sztuce, o problemie pozowania artyście i przyszłości Rose jako modelki, o konieczności uświadomienia sobie przez nią potęgi, jaka w niej tkwi, tego daru, który stawiał ją poza wszelkimi regułami, który czynił ją wyjątkiem potwierdzającym regułę. Panna Brodie była zbyt ostrożna, żeby dokładniej precyzować swoje myśli, i Rose tylko częściowo domyślała się, o co jej chodzi, ponieważ właśnie w tym czasie, o czym wiedziała Sandy, Rose zgodnie ze swoim instynktem zaczynała słyszeć z seksu pośród rówieśników, którzy nieśmiało, z rowerami w pogotowiu, wystawali w bezpiecznej odległości od szkolnej furtki. Rose miała u tych chłopców ogromne powodzenie i głównie dlatego zasłynęła



z seksu, o którym właściwie nigdy nie rozmawiała, nie mówiąc już o innych rzeczach. Robiła wszystko instynktownie i nawet słuchała panny Brodie tak, jakby zgadzała się z każdym jej słowem.

— Kiedy będziesz miała siedemnaście, a może osiemnaście lat, Rose, przeżyjesz moment wielkiego spełnienia.

— Tak, mnie się też tak wydaje, proszę pani.

Namiętność Teddy Lloyda do panny Brodie znajdowała wyraz w portretach poszczególnych dziewcząt z jej stadka, które wychodziły spod jego pędzla. Kiedyś w lecie zrobił im portret zbiorowy: każdy kapelusz panama założony inaczej zdobił inną magicznie przemienioną pannę Brodie, występującą pod postaciami: Rose, Sandy, Jenny, Mary, Moniki i Eunice. Głównie malował jednak Rose, która posiadała instynkt modelki, i Teddy Lloyd płacił jej po pięć szylingów za każde posiedzenie, co jej się ogromnie przydawało jako fanatyczne kina.

Najcieplejsze uczucia w stosunku do panny Brodie żyła Sandy wtedy, kiedy widziała, jak bardzo myli się ona w swojej ocenie Rose. To właśnie wtedy panna Brodie była piękna i wiotka, tak jak mroczny i ciężki Edynburg potrafił stać się nagle zwiewny i lekki, gdy na jedną z jego pełnych wdzięku ulic padło specyficzne perłowobiałe światło. Tak samo władcza twarz panny Brodie wydawała się Sandy jasna i miła, gdy spojrzała na nią w osobliwym świetle jej kobiecych szaleństw, i już nigdy w późniejszych latach Sandy nie miała dla niej tyle sympatii co wtedy, gdy uważała ją za głupią.

Ale tymczasem ciągle jeszcze panna Brodie odgrywała czołową rolę jako duchowy przywódca ich gromadki, jako rzymska matrona i reformatorka systemu nauczania. Nie zawsze z punktu widzenia szkolnych interesów wygodnie było mieć z nią powiązania. Brak ducha zespołowego czy fakt, że dziewczęta panny Brodie wolały golfa od hokeja lub siatkówki — jeśli w ogóle cokolwiek wolały — wystarczył, by je wyobcować ze szkolnej społeczności; nie

musiały w tym celu wgniatać główkę swoich kapeluszy i opuszczać lub poddzierać do góry rond. Nie było dla nich ucieczki ze stadka panny Brodie, ponieważ były stądkiem panny Brodie w oczach ogółu. Oficjalnie należały do Holyrood, Melrose, Argyll i Biggar, ale i tak wiadomo było, że dziewczęta panny Brodie są pozbawione ducha zespołowego i że jest im obojętne, który zespół zdobędzie odznakę. I w tej chwili już nawet nie wolno im było inaczej. Ich obojętność wobec tych spraw stała się czymś w rodzaju instytucji, którą należało respektować jak szkolny podział na zespoły. Jeśli chodzi o same dziewczęta, gdyby nie ta opinia, dawno już do tego czasu, kiedy w wieku lat szesnastu zdały do czwartej klasy, poszłyby każda swoją drogą.

Ale sprawa była nieodwołalna, wykorzystywały więc swoją pozycję, jak mogły najlepiej, doceniając fakt, że jest ona godna pozazdroszczenia. Wszyscy sobie wyobrażali, że dziewczęta panny Brodie mają znacznie więcej przyjemności niż ktokolwiek inny — chociażby ich wizyty w Cramond, w pracowni Teddy Lloyda, wyprawy do teatru z panną Brodie i podwieczorki u niej w domu. I rzeczywiście tak było. Zaś sama panna Brodie cieszyła się opinią osoby niezwyklej i fascynującej, nawet wśród dziewcząt spoza jej stadka.

Z biegiem czasu ilość jej konfliktów z kierownictwem, powstałych na tle jej systemu nauczania, rosła i w chwilach kryzysu panna Brodie uważała za moralny obowiązek swoich dziewcząt pełną mobilizację u jej boku. I wtedy, jeśli je na przykład spotykała włóczące się po lekcjach z chłopakami, którzy nagle znikali na rowerach, zapraszała je do siebie na kolację na dzień następny.

Dziewczęta odprowadzały ją do przystanku tramwajowego.

— Znów mi zaproponowano, żebym się starała o posadę w jednej ze szkół postępowych, to znaczy zwariowanych. Nie mam zamiaru starać się o posadę w żadnej zwariowanej szkole. Zostanę w tej fabryce wychowania, tu, gdzie jest moje miejsce. Potrzebny jest zdrowy ferment. Dajcie



mi dziewczynkę w okresie największej chłonności, a jest moja do końca życia. Gang, który mnie zwalcza, nie zwycięży.

— Nie — odpowiadały dziewczęta jak jeden mąż. — Jasne, że nie zwycięży.

Dyrektorka nie zaprzestała jednak całkowicie sondowania dziewcząt panny Brodie; chciała się przekonać, co one wiedzą. Zawiedziona stosowała czasem wobec nich represje, jeśli je mogła ukryć pod pozorami *fair play* — co w sumie nie zdarzało się często.

— Jeśli nie usiłują mnie wygryźć pod pretekstem mojego systemu nauczania, to czepiają się mojego życia osobistego — powiedziała pewnego dnia panna Brodie. — Smutne to, ale prawdziwe; wyobraźcie sobie, że imputowano mi pewne rzeczy w związku z biednym panem Lowtherem. Jak wicie, wiele zrobiłam dla jego zdrowia. Lubię pana Lowthera. Dlaczego miałabym go nie lubić? Czyż nie mamy obowiązku kochać bliźniego? Jestem najbliższym przyjacielem Gordona Lowthera. Jego powiernicą. Może go ostatnio trochę zaniedbywałam, ale wiem, że nadal jestem dla niego wszystkim i że mam go na każde skinienie. Ale nasz wzajemny stosunek został wypaczony...

Już od paru miesięcy panna Brodie zaniedbywała nauczyciela śpiewu i dziewczęta w związku z tym nie spędzały teraz sobotnich popołudni w Cramond. Sandy uznała, że panna Brodie przestała sypiać z Gordonem Lowtherem, ponieważ jej seksualne potrzeby zostały zaspokojone za pomocą; a Rose była typowana na kochankę Teddy Lloyd'a.

— Niejedną potwarz musiałam znieść z powodu mojej misji dobrej woli w Cramond — oznajmiła panna Brodie. — Ale przeżyję to. Gdybym chciała, mogłabym wyjść za niego za mąż choćby jutro.

Nazajutrz po tej enuncjacji „The Scotsman” podał wiadomość o zaręczynach Gordona Lowthera z panną Lockhart, nauczycielką chemii. Nikt się tego nie spodziewał. Panna Brodie była bardzo zaskoczona i przez jakiś czas czuła się — zresztą zupełnie nie w porę — zdradzona. Najwyraźniej jednak znalazła pociechę w świadomości, że prze-

cież jej prawdziwa miłość to Teddy Lloyd, którego odrzuciła, podczas gdy Gordon Lowther okazał się po prostu przydatny. Wzięła więc udział wraz z całą szkołą w składce na porcelanowy serwis do herbaty, który wręczono młodej parze na ostatnim zebraniu pod koniec okresu. Pan Lowther wygłosił mowę, zwracając się do nich przez „wy, dziewczęta” i od czasu do czasu popatrując nieśmiało w stronę panny Brodie, która obserwowała chmury za oknem. Czasem spoglądał na swoją przyszłą małżonkę, która stała cicho u boku dyrektorki, mniej więcej w połowie sali, czekając, kiedy pan Lowther skończy i będą mogły stanąć sobie na podium. Panna Lockhart budziła w nim zaufanie, jak zresztą w każdym, nie tylko dlatego, że dobrze grała w golfa i umiała prowadzić samochód, ale również dlatego, że przy pomocy słoja prochu mogła wysadzić w powietrze całą szkołę i wiadomo było, że nigdy by jej to nie przyszło do głowy.

Piwnie oczy panny Brodie utkwione były w chmurach; była w tej chwili piękna i wiotka i Sandy pomyślała, że może odrzuciła Teddy Lloyd'a tylko dlatego, że zdawała sobie sprawę, iż nie jest w stanie tego piękna zachować; stanowiło w niej ono element zmienny, to przychodziło, to odchodziło.

W następnym okresie, kiedy pan Lowther wrócił z miodowego miesiąca na wyspie Eigg, panna Brodie całą energię zaangażowała w realizację planu dotyczącego Sandy i Rose, ich intuicji i instynktu, a pozostałe jej rezerwy poświęciła sprawom politycznym.

## ROZDZIAŁ VI

Panna Mackay, dyrektorka, nie zrezygnowała z sondowania dziewcząt panny Brodie. Wiedziała, że pytanie wprost na nic się nie zda, próbowała więc dróg okrężnych w nadziei, że uda jej się wreszcie podstępem uzyskać jakiś dowód, który by jej pomógł zmusić pannę Brodie do



odejścia. Raz w okresie panna Mackay zapraszała dziewczęta na herbatę.

Tak czy siak, niewiele mogły obecnie powiedzieć nie rzucając cienia na siebie. Teraz, po siedmioletnim stażu, tak dalece przyjaźń z panną Brodie weszła im w krew, że nie mogłyby jej się w najmniejszym nawet stopniu sprzeniewierzyć, żeby nie utoczyć własnej krwi.

— W dalszym ciągu spotykacie się z panną Brodie? — spytała panna Mackay błyskając uśmiechem. Miała nowe zęby.

— Tak, owszem...

— Owszem, od czasu do czasu...

Kiedy przyszła kolej na Sandy, panna Mackay powiedziała do niej poufnie — traktowała bowiem starsze dziewczęta jak równe sobie, to znaczy równe, ale oczywiście z obowiązkiem noszenia szkolnego mundurka.

— Pocziwa panna Brodie siedzi pod tym więzłem i opowiada swoją wspaniałą historię młodszym dziewczętom. Mój Boże, pamiętam, jak tylko przyszła do naszej szkoły — była młodą, pełną energii nauczycielką, a teraz... — panna Mackay westchnęła i pokiwała głową. Miała zwyczaj wygłaszania różnych życiowych mądrości w dialekcie szkockim, żeby brzmiały jeszcze mądrzej. Powiedziała więc: — Głową muru nie przebijesz. Obawiam się, że panna Brodie nie jest już w pełni swoich możliwości. Wątpię, czy jej klasa w tym roku przebrnie przez egzamin do szkoły średniej. Tylko nie myśl, że ja krytykuję pannę Brodie. Przypuszczam, że czasem zagląda do butelki. Ale ostatecznie to jej sprawa, w każdym razie dopóki nie odbija się to na jej pracy, no i na was, dziewczęta.

— Ona nie pije — oburzyła się Sandy — tylko trochę sherry z okazji urodzin; pół butelki na nas siedem.

Widać było niemal, jak panna Mackay w myśli skreśliła picie z listy swoich zarzutów pod adresem panny Brodie.

— Ależ ja nic innego nie chciałam powiedzieć — zapewniła.

Teraz, jako siedemnastoletnie panny, dziewczęta potrafiły już dostrzec w pannie Brodie nie tylko nauczycielkę.

Kiedy rozmawiały na jej temat między sobą, musiały w końcu zawsze przyznać, że niewątpliwie panna Brodie jest interesująca jako kobieta. Oczy miała pełne blasku, nos dumnie sklepiony, włosy w dalszym ciągu ciemne, zwinęte w dostojny kok na karku. Nauczyciel śpiewu, choć szczęśliwy u boku panny Lockhart, obecnej pani Lowther, straconej już dla szkoły, zerkał spod swoich rudych brwi na pannę Brodie z nieśmiałym podziwem, nie mogąc oprzeć się wspomnieniom, ilekroć ją spotkał.

Jedną z najgorętszych wielbicielek panny Brodie była Joyce Emily Hammond, dla której szkoła imienia Marcji Blaine miała być ostatnią deską ratunku. Zmuszona opuścić po kolei wszystkie co droższe zakłady naukowe w Szkocji i północnej Anglii z powodu swojej rzekomej niesforności, Joyce Emily jak dotąd dała się poznać z tej strony jedynie raz czy dwa, kiedy strzelała w pana Lowthera papierowymi kulkami, raniąc zresztą jedynie jego dumę. Upierała się, żeby ją nazywać Joyce Emily, i co rano przyjeżdżała do szkoły ogromną czarną limuzyną z szoferem, chociaż wracać musiała sama; mieszkła w wielkim domu ze stajniami w pobliżu Edynburga. Rodzice Joyce Emily, mimo że tak bogaci, błagali, by im pozwolono odczekać okres próbny, nim zainwestują w jeszcze jeden mundurka dla swojej pociechy. Tak więc Joyce Emily w dalszym ciągu chodziła na ciemnozielono, podczas gdy w szkole obowiązywał ciemny fiolet, i mogła się pochwalić wiszącą w szafie kolekcją mundurków w pięciu innych kolorach, nie mówiąc już o takich pamiątkach po kolejnych guwernantkach, jak własnoręcznie przez Joyce Emily obcięty gruby kosmyk włosów, książeczka oszczędnościowa należąca do niejakiej panny Michie i zwęglone resztki powłóczki na poduszkę, na której spoczywała głowa jeszcze innej guwernantki, panny Chambers, w chwili kiedy Joyce Emily ją podpaliła.

Dziewczęta słuchały nawet jej paplaniny, ale ogólnie rzecz biorąc Joyce Emily nie cieszyła się popularnością, nie tylko dlatego, że nosiła zielone pończochy i spódnice i że jeździła lśniącą limuzyną z szoferem, ale głównie



dlatego, że dziewczęta były teraz bardzo zajęte przygotowaniem się do egzaminów i zdobywaniem odznaki dla swoich zespołów. Doceniając wyjątkową pozycję stadka panny Brodie, Joyce Emily robiła wszystko, żeby się do niego wkręcić, natrafiała przy tym jednak na szczególnie trudności. Trzeba przyznać, że z wyjątkiem Mary Macgregor dziewczęta panny Brodie należały do najinteligentniejszych w całej szkole, co w dużej mierze utrudniało pannie Mackay zdyskredytowanie panny Brodie.

Ponadto miały one swoje zainteresowania pozaszkolne. Eunice trenowała na przykład ze swoim chłopcem pływanie i nurkowanie. Monika Douglas i Mary Macgregor odwiedzały wspólnie slumsy, zanosząc tam wielkie paki żywności, przy czym Mary robiła uwagi w rodzaju: „A dlaczego oni nie jedzą ciastek?” (Tak naprawdę to kiedy słyszała narzekania na wysokie ceny mydła, zapytała: „A dlaczego oni nie oddają bielizny do pralni?”) Jenny zaczęła właśnie objawiać talenty aktorskie i ciągle coś przygotowywała dla szkolnego kółka dramatycznego. Rose pozowała Teddy Lloydowi; Sandy towarzyszyła jej czasem, zawsze czujna, zastanawiając się, czy przypadkiem nie sprowokować Teddy Lloydowi do następnego pocałunku, po to tylko, żeby się przekonać, czy wystarczyłoby, gdyby w tym celu gapiła się po prostu na niego bezczelnie swoimi małymi oczkami. A na dodatek do tych wszystkich zajęć dziewczęta spotykały się z panną Brodie po lekcjach po dwie, trzy, a czasami w pełnym składzie. To właśnie wtedy, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, panna Brodie najbardziej zabiegała o względy Rose i badała Sandy, jak rozwija się wielki romans, który właśnie miał się nawiązać między Rose i nauczycielem rysunków.

W tej sytuacji dziewczęta nie miały wiele czasu dla rezydystki — nawet jeśli była to opinia nieuzasadniona — w którą przez wpływy jej rodziców szkoła została wrobiona. Panna Brodie jednak znajdowała dla niej czas. Dziewczęta czuły się tym lekko urażone, w sumie jednak były rade, że nie muszą przebywać w jej towarzystwie

i że panna Brodie zaprasza ją na herbatę i do teatru oddzielnie.

Jednym z przedmiotów dumy Joyce Emily był fakt, że jej brat, studiujący w Oksfordzie, poszedł walczyć w hiszpańskiej wojnie domowej. Ta zwariowana dziewczyna o ciemnych włosach też chciała iść na wojnę, nosić białą bluzkę i czarną spódnicę i maszerować z karabinem. Nikt nie brał tego poważnie. Hiszpańska wojna domowa toczyła się gdzieś tam na łamach gazet i raz w miesiącu na terenie szkolnego kółka dyskusyjnego. Wszyscy, nie wyłączając Joyce Emily, byli przeciwko generałowi Franco, jeśli w ogóle mieli w tej sprawie jakies zdanie.

Pewnego dnia stwierdzono, że Joyce Emily już od paru dni jest nieobecna w szkole, i wkrótce ktoś zajął jej miejsce. Nikt nie wiedział, co się stało, i dopiero po sześciu tygodniach przyszła wiadomość, że Joyce Emily uciekła do Hiszpanii, gdzie zginęła przypadkiem w czasie ataku na pociąg, którym jechała. W szkole odprawiono krótkie nabożeństwo w jej intencji.

Mary poszła na kursy dla stenotypistek, a Jenny do szkoły dramatycznej. Tylko cztery spośród dziewcząt panny Brodie zostały w Blaine na ostatni rok. Aż trudno to było nazwać szkołą — uczennice szóstej klasy tyle miały wolnego czasu, tak dużo wykładów i siedzenia po bibliotekach poza budynkiem szkolnym, że właściwie tylko przychodziły i wychodziły. Liczono się z nimi i zasięgano ich opinii, miały więc wrażenie, że gdyby chciały, mogłyby same prowadzić szkołę.

Eunice pragnęła poświęcić się nauce języków nowożytnych, jakkolwiek w rok później zmieniła zamiar i została pielęgniarką. Monika miała studiować chemię, Sandy psychologię. Rose została w szkole bez żadnych konkretnych planów; po prostu jej ojciec uważał, że powinna otrzymać jak najpełniejsze wykształcenie, gdyby miała w przyszłości iść do jakiejś szkoły sztuk pięknych czy w najgorszym razie zostać modelką i pozować malarzom lub projektan-



tom mody. Ojciec odgrywał w życiu Rose bardzo poważną rolę. Był to ogromnego wzrostu wdowiec, tak przystojny mężczyzna, jak Rose była urodziwą kobietą, dumnie przyznający się do tego, że jest szewcem; co oznaczało, że był właścicielem dużej firmy obuwniczej. Kilka lat temu, kiedy się poznali, panna Brodie wywarła na nim głębokie wrażenie, podobnie zresztą jak na wielu mężczyznach, i wcale nie wydawała mu się śmieszna, czego można było oczekiwać, ale nie traktowała poważnie pana Stanleya, który w jej pojęciu nie był człowiekiem kulturalnym. Uważała go za typ zmysłowy. Dziewczęta jednak zawsze patrzyły na ojca Rose w sposób, który trudno byłoby nazwać skromnym. A Rose, wiedzona swoim niewątpliwym instynktem, wzięła po nim ową nieskomplikowaną, pogodną zmysłowość i wkrótce po opuszczeniu szkoły wyszła dobrze za mąż. Otrząsnęła się z wpływu panny Brodie jak pies z wody.

Ale panna Brodie miała się o tym nie dowiedzieć, a tymczasem Rose, za którą uganiłi się chłopcy z szóstej klasy i studenci pierwszego roku, nieodwołalnie zasłynęła z seksu. I panna Brodie powiedziała do Sandy:

— Z tego, co mi mówisz, widzę, że wkrótce Rose i Teddy Lloyd zostaną kochankami.

Sandy od razu zorientowała się, że nie jest to tylko czysta teoria czy któraś z gierki panny Brodie, tak jak to niejedno w życiu polega na pustym gadaniu czy zgadywaniu na chybił trafił: w ten sposób ludzie potrafią mówić o groźbie wojny czy rzucać sobie na wiatr różne teorie, tak że później ktoś mówi: „Naturalnie, to jest nieuniknione.” Ale to nie była teoria, panna Brodie naprawdę tak myślała. Sandy spojrzała na nią i stwierdziła, że dla tej kobiety przespanie się Rose z mężczyzną, którego sama kocha, stało się obsesyjną potrzebą; nie było w tej idei nic nowego, nowa była jedynie rzeczywistość. Sandy pomyślała o pannie Brodie sprzed ośmiu lat, jak siedząc pod więzmem opowiadała im swoją pierwszą nieskomplikowaną historię własnej miłości, i zastanawiała się, w jakim stopniu to panna Brodie jest odpowiedzialna za spiętrzenie

się przez lata tak wielu komplikacji, a w jakim stopniu zmieniła się jej własna koncepcja panny Brodie.

Przez cały rok Sandy utrzymywała żywy kontakt z Lloydami. Chodziła z Deirdre po zakupy i sprawiła sobie spódnice z samodziąłu w stylu ludowym, jaką nosiła pani Lloyd. Przysłuchiwała się ich rozmowom, oceniając ich duchowe walory za pomocą znaków i symboli, jak to miały wówczas w zwyczaju młode osoby, które czytały podręczniki psychologii, przysłuchując się starszym, którzy ich nie czytali. Czasami w te dni, kiedy Rose pozowała nago, Sandy przesiadywała z artystą i modelką w pracowni i w milczeniu obserwowała dziwne przemiany ciała na płótnie, będącego jednocześnie bezimienną nagą postacią Rose, a w większym jeszcze stopniu panną Brodie. Sandy zaczęła intrygować mentalność malarza, tak bardzo zaprzątniętego osobą panny Brodie i wcale nie uważającego jej za śmieszną.

— Z tego, co mi mówisz, widzę, że wkrótce Rose i Teddy Lloyd zostaną kochankami. — Sandy zrozumiała, że panna Brodie rzeczywiście w to wierzy. Powiedziała jej, jak szczególne podobieństwo do niej wykazują wszystkie portrety malowane przez pana Lloyd. Powtarzała to nieraz, ponieważ panna Brodie słuchała tego z rozkoszą. Powiedziała jej również, że Teddy Lloyd chce rzucić szkołę i że przygotowuje wystawę, do czego zachęcają go krytycy, a zniechęca myśl o licznej rodzinie.

— Jestem jego mużą — oświadczyła panna Brodie. — Ale odrzuciłam jego miłość, żeby poświęcić pełnię mego życia dziewczętom oddanym mi pod opiekę. Ja jestem jego mużą, ale Rose zajmie moje miejsce.

Wydaje się jej, że jest Opatrznością, myślała Sandy, że jest Bogiem Kalwina, widzi początek i koniec. I Sandy pomyślała również, że ta kobieta jest podświadomą lesbijką. Wiele różnych teorii zaczerpniętych z podręczników psychologii klasyfikowało pannę Brodie, ale żadna nie zdołała zetrzeć jej obrazu z płócien jednorękiego Teddy Lloyd.

Kiedy Sandy wstąpiła do klasztoru, przychodziła do niej



od czasu do czasu któraś z dawnego stadka panny Brodie, no bo było to jakieś zajęcie, a poza tym Sandy napisała tę książkę psychologiczną i w końcu każdy chętnie odwiedza zakonnice — jest to swego rodzaju duchowe przeżycie, katharsis, z którą się potem wraca do domu, zwłaszcza jeżeli ta zakonnica ściska kurczowo pręty kratki. Przyszła Rose, od dawna żona dobrze prosperującego businessmana, którego zakres działalności obejmował różne dziedziny — od produkcji konserw do bankowości handlowej — i zaczęły rozmawiać o pannie Brodie.

— Wiele mówiła o powołaniu, ale nie miała na myśli tego typu powołania co twoje. Czy nie uważasz, że jednak jej dziewczęta były w jakiś sposób jej powołaniem?

— Owszem, uważam — odparła Sandy.

— To dlaczego ją wyrzucili? — spytała Rose. — Za sprawy seksualne?

— Nie, polityczne.

— Nie wiedziałam, że ona się w ogóle interesowała polityką.

— To było tylko jej uboczne zainteresowanie — odparła Sandy — ale posłużyło jako pretekst.

Monika Douglas przyszła odwiedzić Sandy, bo przeżywała kryzys życiowy. Wyszła za mąż za naukowca i w wybuchu złości rzuciła w jego siostrę rozżarzonym węglem. Naukowiec zażądał separacji raz na zawsze.

— Niewiele ci będę mogła w tej sprawie pomóc — powiedziała Sandy. Ale Monika nie oczekiwała od niej pomocy, ponieważ знаła Sandy od lat, a ludzie, których się zna od lat, z reguły nie potrafią pomóc. Wobec tego zaczęły rozmawiać o pannie Brodie.

— Czy kiedykolwiek udało jej się doprowadzić do tego, żeby Rose przespała się z Teddy Lloydem? — spytała Monika.

— Nie — odparła Sandy.

— Czy ona sama się w nim kochała?

— Tak — odrzekła Sandy — i on w niej też.

— Więc to jednak musiało być prawdziwe wyrzeczenie z jej strony — powiedziała Monika.

— Oczywiście — odparła Sandy. — Mimo wszystko przeżywała wtedy swoją pełnię.

— A ty myślałaś zawsze, że ona mówiła o wyrzeczeniu żartem.

— Tak samo jak i ty — powiedziała Sandy.

W lecie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, po tym jak ostatnia z dziewcząt panny Brodie opuściła Blaine, panna Brodie pojechała do Niemiec i Austrii, a Sandy studiowała psychologię i chodziła pozować Teddy Lloydowi do swojego własnego portretu, w czym dotrzymywała jej czasem towarzystwa Rose.

Kiedy Deirdre pojechała z dziećmi na wieś, Teddy Lloyd, który prowadził letnie zajęcia w szkole plastycznej, musiał zostać w Edynburgu. Sandy w dalszym ciągu pozowała mu dwa razy w tygodniu, a Rose czasem przychodziła, a czasem nie.

Pewnego dnia, kiedy byli sami, Sandy powiedziała Teddy Lloydowi, że wszystkie malowane przez niego portrety, łącznie z portretem jego najmłodszego bobasa, okazują się podobiznami panny Brodie, przy czym spozrzała na niego w swój bezczelny, szantażujący sposób. Teddy Lloyd pocałował ją tak jak przed trzema laty, kiedy miała lat piętnaście, i od tej chwili przez prawie całe pięć tygodni letnich kochali się w pustym domu, z rzadka tylko otwierając Rose, ale częściej pozwalając dzwonić.

W tym okresie Teddy Lloyd malował niewiele, a Sandy powiedziała:

— W dalszym ciągu malujesz mnie podobną do Jean Brodie. — Zaczął więc nowe płótno, ale z tym samym skutkiem.

Spytała:

— Dlaczego jesteś taki opętany przez tę kobietę? Czy nie widzisz, że ona jest śmieszna?

Powiedział, tak, widzi, że Jean Brodie jest śmieszna. Spytał, czy mogłaby łaskawie przestać analizować jego uczucia, to jest naprawdę nienaturalne u osiemnastoletniej dziewczyny.

W początkach września panna Brodie zatelefonowała do



Sandy i zaprosiła ją do siebie. Wróciła właśnie z Niemiec i Austrii, gdzie panował teraz wspaniały ład. Po wojnie, kiedy siedziały w hotelu Braid Hills, panna Brodie przyznała, że „jednak Hitler był dość niegrzeczny”, ale wtedy była pod wrażeniem swoich podróży i całkowicie pewna, że nowy reżim zbawi świat. Sandy to nudziło; zbawianie świata nie wydawało jej się wcale konieczne, wystarczyłoby ulżyć biednym ludziom z ulic i slumsów Edynburga. Panna Brodie oświadczyła, że nie będzie wojny. Tak czy siak, Sandy nigdy nie uważała, że wojna będzie. Panna Brodie przeszła do rzeczy:

— Mówiła mi Rose, że zostałeś jego kochanką?

— Tak, a czy to ma jakieś znaczenie, która z nas nią została?

— Co cię opętało? — spytała panna Brodie w bardzo szkocki sposób.

— On mnie interesuje.

— Interesuje cię, no proszę — rzekła panna Brodie. — Dziewczyna myśląca, dziewczyna z intuicją. On jest katolikiem. Nie rozumiem, jak możesz przestawać z człowiekiem, który nie potrafi samodzielnie myśleć. Rose była dla niego odpowiednia. Rose ma instynkt, ale nie ma intuicji.

Teddy Lloyd nie zaprzestawał powielania panny Brodie w swoich portretach i Sandy powiedziała mu kiedyś:

— Ty masz instynkt, ale nie masz intuicji; w przeciwnym razie byś się zorientował, że tej kobiety nie można brać serio.

— Wiem, że nie można — odparł. — Jesteś zbyt dociekliwa i zbyt drażliwa jak na swój wiek.

Wróciła rodzina Teddy Lloyd'a i ich spotkania stały się niebezpieczne i podniecające. Im bardziej Sandy przekonywała się o miłości Teddy Lloyd'a do panny Brodie, tym bardziej intrygowała ją mentalność człowieka zdolnego kochać taką kobietę. Pod koniec roku doszło do tego, że zupełnie przestał ją interesować sam mężczyzna; zajęła się natomiast poważnie jego mentalnością, z której między innymi wyłuskała jak jądro z łupiny religię. Jej myśli tak

były wypełnione jego religią jak nocne niebo ciałami widzialnymi i niewidzialnymi. Porzuciła mężczyznę, przyjmując jego religię, i z czasem wstąpiła do klasztoru.

Ale tej jesieni, kiedy ciągle jeszcze zajęta była analizowaniem mentalności człowieka wyczarowującego na kolejnych płótnach podobizny panny Brodie, Sandy spotykała się z nią kilkakrotnie. Panna Brodie w pierwszej chwili z rezygnacją przyjęła wiadomość o jej romansie z nauczycielem rysunków. Obecnie znów była w nastroju podniosłym i znów domagała się szczegółów, których nie uzyskała.

— Czy jego portrety w dalszym ciągu mnie przypominają? — spytała.

— O tak, bardzo — odparła Sandy.

— To znaczy, że wszystko jest w porządku. A jednak, Sandy, to ty miałaś zadatki na wielką kochankę, chociaż nigdy bym nie przypuszczała. Prawda bywa dziwniejsza niż fikcja. Przyznaję, że typowałam dla niego Rose, chociaż czasem żałuję, że namawiałam tę małą Joyce Emily, żeby jechała do Hiszpanii walczyć pod sztandarami generała Franco, ona by się wspaniale dla niego nadawała, dziewczyna z instynktem...

— A ona pojechała walczyć po stronie Franco? — spytała Sandy.

— Taki miała zamiar. Dzięki mnie dostrzegła cały sens tej sprawy. Jakkolwiek, biedaczka, nie miała nawet okazji walczyć.

Tej jesieni, kiedy Sandy przyszła zobaczyć się z panną Mackay, tak jak tego po niej oczekiwano, dyrektorka powiedziała do tej rogatej pannicy z nienormalnie maleńkimi oczkami:

— Mam nadzieję, że widzisz się czasem z panną Brodie? Mam nadzieję, że nie zapominasz o starych przyjaciółach?

— Widziałam się z nią raz czy dwa — odparła Sandy.

— Obawiam się, że nabiła wasze młode główki różnymi historiami — rzekła panna Mackay z porozumiewawczym mrugnięciem, które miało oznaczać, że teraz, kiedy już



Sandy skończyła szkołę, mogą sobie pomówić otwarcie o pannie Brodie.

— Owszem, różnymi — odparła Sandy.

— Chętnie bym się dowiedziała, co to były za historie, przynajmniej niektóre z nich — powiedziała panna Mackay głosem z lekka omdlewającym i szczerze zmartwionym — bo przecież sprawa jest w dalszym ciągu aktualna, i tak rok po roku, a teraz znów utworzyła nowe stadko i te dziewczęta tak dalece odbiegają od reszty — właśnie to stadko panny Brodie. One są stanowczo nad wiek rozwinięte. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak — odparła Sandy. — Ale nie uda się pani dowieść jej rozwiązłości seksualnej. Nie myślała pani czasem o polityce?

Panna Mackay odwróciła swoje krzesło tak, że stało teraz niemal na wprost krzesła Sandy. Sprawa zaczynała być poważna.

— Co chcesz przez to powiedzieć, moja droga? Nie przypuszczałam, że ona się w ogóle zajmuje polityką.

— Bo ona się wcale nie zajmuje — rzekła Sandy — to jej zainteresowanie uboczne. Panna Brodie jest urodzoną faszystką, nigdy to pani nie przyszło do głowy?

— Popytam o to jej uczennice i zobaczymy, co z tego wyniknie, skoro tak mi radzisz, Sandy. Nie sądziłam, że sprawy ogólnoludzkie tak ci leżą na sercu. Jestem wprost zachwycona...

— Sprawy ogólnoludzkie nic mnie nie obchodzą — odparła Sandy — zależy mi tylko na tym, żeby wreszcie ukrócić pannę Brodie.

Nie ulegało wątpliwości, że dyrektorka nie była zachwycona postawą Sandy, w każdym razie w odpowiednim czasie nie omieszkała powiedzieć pannie Brodie:

— To jedna z pani dziewcząt mi to podsunęła, jedna z pani stadka, panno Brodie.

Sandy miała wyjechać z Edynburga w końcu roku i żegnając się z Lloydami rozejrzała się jeszcze po pracowni pełnej płócien, na których nie udało jej się ukrócić panny Brodie. Pogratulowała Teddy Lloydowi ekonomiczności je-

go metody, on pogratulował Sandy ekonomiczności jej metody, a Deirdre spojrzała pytająco, bo nie rozumiała, co też mógł mieć na myśli. Gdyby wiedział, że ukrociłam pannę Brodie, pomyślała Sandy, uważałby moją metodę za jeszcze bardziej ekonomiczną. Była w tamtych czasach większą moralistką chrześcijańską niż John Knox.

Panna Brodie została zmuszona do ustąpienia przed walkami tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku pod zarzutem, że propaguje faszyzm. Na wiadomość o tym Sandy przypomniała sobie maszerujące oddziały czarnych koszul na ścianach. Do tego czasu zdążyła już wstąpić w szeregi wiernych Kościoła katolickiego, wśród których spotkała niemało faszystów, i to znacznie mniej przyjemnych od panny Brodie.

„Naturalnie — pisała panna Brodie do Sandy w liście, w którym zawiadamiała ją o swoim odejściu ze szkoły — zarzuty polityczne były tylko pretekstem. Nieraz próbowałam mi udowodnić złe prowadzenie, ale im się to nie udało. Moje dziewczęta zawsze były dyskretne. W gruncie rzeczy solą w oku był im mój system nauczania, który w pełni mego życia doprowadziłam do perfekcji. Jak wiesz, byłam całkowicie oddana swoim dziewczętom. Ale ten polityczny pretekst posłużył jako broń przeciwko mnie. Co mnie jednak najbardziej w tym wszystkim zdumiewa i boli, o ile oczywiście można wierzyć pannie Mackay, to fakt, że podobno zdradziła mnie jedna z moich dziewcząt, powodując całe to dochodzenie.

Może Cię to zdziwi, ale piszę o tym do Ciebie, ponieważ Ty jedna z całego mojego stadka jesteś poza podejrzeniami. Ty po prostu nie miałaś powodu mnie zdradzić. Przede wszystkim pomyślałam o Mary Macgregor. Może Mary w swojej głupocie chowała do mnie urazę w sercu; to była taka irytująca osoba. Albo Rose — może Rose czuła się dotknięta tym, że to jednak ja zajmowałam pierwsze miejsce w myślach pana L. Eunice — nie wyobrażam sobie, żeby to mogła zrobić ona, ale rzeczywiście musiałam ją dość często besztać za jej prymitywne upodobania. Chciała być na przykład harcerką, pamiętasz?



Poza tym pociągała ją idea ducha zespołowego. Czyżby Eunice miała żal? Weźmy Jenny. Sama zresztą znasz Jenny najlepiej, wiesz, jak Jenny się zmieniła, kiedy postanowiła zostać aktorką, nigdy już nie była ta sama. Zrobiła się po prostu nudna. Jak sądzisz — czy poczuła się dotknięta, kiedy jej powiedziałam, że nigdy nie będzie Fay Compton, a tym bardziej Sybil Thorndike? No i wreszcie Monika. Muszę powiedzieć, że skłonna byłabym ją podejrzewać. Osoby o umysłach matematycznych praktycznie pozbawione są duszy i może w akcie złości wymierzonym przeciwko Pięknu, Prawdzie i Dobru, pojęciom jej niedostępnym, odwróciła się ode mnie i popełniła zdradę.

Ciebie, Sandy, jak widzisz, stawiam poza wszelkimi podejrzeniami jako tę, która nie miała żadnego powodu mnie zdradzić, bo Tobie przypadło w udziale to, co najlepsze zarówno ze mnie, w postaci moich zwierzeń, jak i z człowieka, którego kocham. Pomyśl, jeśli możesz, kto to mógł być. Koniecznie muszę wiedzieć, która to mnie zdradziła...”

Sandy odpowiedziała na ten list enigmatycznie, jak papież:

„Jeśli Pani nie zdradziła nas, tym samym nie mogła Pani zostać przez nas zdradzona. A poza tym słowo zdrada nie ma tu zastosowania...”

Następny list od panny Brodie dostała Sandy z okazji śmierci Mary Macgregor, która biegając tam i z powrotem w czasie pożaru hotelu zginęła w płomieniach.

„Jeśli to miała być kara dla biednej Mary za to, że mnie zdradziła, to przecież ja bym nigdy nie chciała...”

„Obawiam się — pisała Jenny — że panna Brodie przeżyła już swoją pełnię. Koniecznie chce się dowiedzieć, kto ją zdradził. To zupełnie niepodobne do dawnej panny Brodie, zawsze tak wojowniczej.”

Imię jej i wspomnienia pojawiały się po jej śmierci na ustach dziewcząt latem jak jaskółki, które odlatują na zimę. Stado panny Brodie odwiedzało Sandy zawsze latem, ponieważ klasztor był położony na głuchej wsi.

Kiedy Jenny przyjechała odwiedzić Sandy, która nosiła

już imię siostry Heleny od Przemienienia Pańskiego, zwierzyła jej się z nieoczekiwanej miłości, jaką przeżyła w Rzymie, i z tego, że uważa sprawę za beznadziejną.

— Panna Brodie, która sama nie była święta, pewnie by się tym zainteresowała.

— Ona na swój sposób była całkiem niewinna — odparła Sandy mocno zaciskając dłonie na prętach kratki.

Eunice w czasie swoich odwiedzin powiedziała:

— W zeszłym roku byliśmy na Festiwalu Edynburskim. Odnalazłam grób panny Brodie i położyłam na nim kwiaty. Opowiedziałam mojemu mężowi te wszystkie historyjki o niej, jak siedziała pod więzaniem i tak dalej; uważa, że była zabawna.

— Bo rzeczywiście była, jak się tak zastanowić.

— Owszem — przyznała Eunice — kiedy przeżywała swoją pełnię.

To znów kiedyś przyszła Monika.

— Przed śmiercią — powiedziała — panna Brodie uważała, że to ty ją zdradziłaś.

— Zdrada jest możliwa jedynie wtedy, kiedy człowiek zasługuje na lojalność — rzekła Sandy.

— A czy panna Brodie na nią nie zasługiwała?

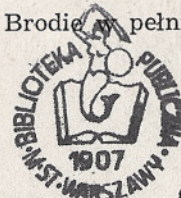
— Tylko do pewnego stopnia.

A potem przyszedł dzień, kiedy ten dociekliwy młody człowiek odwiedził Sandy w związku z jej dziwną książką psychologiczną zatytułowaną *Przemienienie codzienności*, która ściągnęła takie tłumy, że Sandy zaciskała ręce na prętach bardziej kurczowo niż zwykle.

— Co wywarło na siostrę największy wpływ w latach szkolnych, siostrze Heleno? Czy była to literatura, sprawy polityczne czy osobiste? A może kalwinizm?

Sandy odparła:

— Niejaka panna Brodie w pełni swego życia.



9 — Pełnia życia panny Brodie

Wypożyczalnia Nr 9H

Nr inw. 24026



Elechi Amadi PIĘKNA IHUOMA  
Siergiej Antonow NIE WIERZCIE PAPUDZE  
Jean Giraudoux KLAMSTWO  
James Jones DŁUGI TYDZIEŃ W PARKMAN t. I/II  
Aleksander Karasimeonow MIŁOŚĆ  
Elia Kazan UKŁAD  
William McIlvanney SZATA DEJANIRY  
Leo Perutz RAJTAR SZWEDZKIEGO KRÓLA  
Mykołaj Słuckis MOJA PRZYSTAŃ NIESPOKOJNA  
Muriel Spark PEŁNIA ŻYCIA PANNY BRODIE  
Antal Szerb PODRÓŻNY I ŚWIATŁO KSIĘŻYCA  
Gábor Thurzó ŚWIĘTY  
Marcello Venturi OSTATNI ŻAGLOWIEC  
Johannes Weidenheim LUDZIE, CO ZA CZASY  
ALBO WESZ ZA NIEMIECKIM KOŁNIERZEM

Muriel Spark, urodzona i wykształcona w Edynburgu, jest pisarką angielską średniego pokolenia. Twórczość jej obejmuje różnorodne gatunki, od poezji, poprzez powieść, opowiadania, sztuki teatralne i radio-we, do rozpraw krytycznych. O uznaniu, jakim się cieszy, świadczy chociażby zdobyta w 1951 roku nagroda „Observera” za opowiadania, przyznana jej w 1962 roku Italia Prize, a także odznaczenie pisarki Orderem Imperium Brytyjskiego.

W Polsce znana jest z opowiadania *Pif, paf, jesteś trup*, które ukazało się w zbiorze opowiadań angielskich *Życie innych ludzi*, wydanym w 1967 roku, i z wydanej w 1970 roku powieści *Memento mori*.

*Pełnia życia panny Brodie*, najpopularniejsza jej powieść, ukazała się w Anglii w 1961 roku, w pięć lat później doczekała się przeróbki scenicznej, a w 1969 roku – filmowej. Jest to historia nauczycielki jednej z żeńskich szkół Edynburga i sześciu dziewczynek zwanych jej „stadkiem”. Panna Brodie, osoba ekscentryczna i niekonwencjonalna, stosuje wobec wybranych przez siebie dziewcząt system nauczania, który w początkach lat trzydziestych, kiedy to rozgrywa się akcja powieści, jest wręcz szokujący i budzi sprzeciw dyrektorki szkoły i pozostałych członków grona nauczycielskiego.

Książka odznacza się walorami typowymi dla pisarstwa Muriel Spark: oszczędnością środków pisarskich, plastycznym rysunkiem postaci, ciekim humorem zaprawionym ironią i filozoficzną zadumą nad życiem.